

12634

Bochum

120

120
—
Marja Ródziewiczówna



ŚWIATŁA

NOWELE



WARSZAWA
NAKŁAD Drukarni synów St. Niemiry
Plac Warecki 4
1904

<https://rcin.org.pl>

ŚWIAŁA

MARYA RODZIEWICZÓWNA



ŚWIATŁA

NOWELE



WARSZAWA
W Drukarni Synów St. Niemiry
Plac Warecki 4
1904

Дозволено Цензурою
Варшава, 18 Августа 1903 г.

I. 2667



Był sobie we wsi człowiek niebogaty Ma-
kar Wacan. Całe jego bogactwo stanowiła cha-
ta bez gruntu, wóz drabiasty, trzy konie i wielka
miara sprytu w głowie. Wacan ziemi nie upra-
wiał, nad sochą kark mu się nie zgarbił, wiek
zbył na tym wozie swoim — na gościńcu.

Był stary, więc pamiętał czasy dawne,
gdy nie było kolei żelaznych, i znał drogi bar-
dzo dalekie od Rygi do Odessy, od Smoleńska
do Wrocławia. Posiadał nieograniczone zaufanie
okolicznych dworów i kupców, przewoził towa-
ry, ludzi, grube pieniądze, wracał zawsze szcze-
śliwie, załatwił polecenie pomyślnie, nie popeł-
nił na grosz nieuczciwości.

Miał w sobie naturę nomada. Parodzien-
ny odpoczynek w chacie już go nużył; już na-
rządzał wóz, kuł konie, i gdy się nie trafiała
dalsza droga, jechał choć do miasteczka na

odpust, na jarmark, byle gdzie, byle być na wozie i na gościńcu. Człek był ciekawy, o bystrem oku, suchej lecz mocnej budowy niewielemowny, słuchający uważnie, karbujący wszystko w pamięci. Pisać ni czytać nie umiał, ale nigdy niczego nie zapomniał i wyrachował się z największej sumy.

Trudno go było wyciągnąć na gawędę. Wódki nie pił, fajki z zębów nie wypuszczał, a w samotnych swych wędrówkach przywykł do milczenia i do ostrożności w zwierzaniach.

Makar Wacan był bezzenny. Do jego fachu kobieta nie była potrzebna; w wędrówkach bezustannych młodość mu minęła, że się i nie obejrzał, a gdy przyszedł wiek, że go kumoszki wyswatać chciały, czując pieniądze u chłopca—wtedy on się stanowczo oparł. Zakochał się w swobodzie i woli.

Niemłody już był, gdy raz ze swej wędrówki przywiózł do domu dziecko. Władzy oznajmił, że znalazł je przy drodze, w lesie, że je na opiekę bierze, i zaludniła się w ten sposób jego chata.

Od owego czasu Wacan począł więcej we wsi przebywać. Nie starość to była, ani sła-

bość, ale uciecha, że w pustej izbie coś szczerbioce. Zrazu bawił się tą nowością, potem nawykł, wreszcie się przywiązał. Wędrował po dawnemu, ale na dalsze wyprawy niechętnie się puszczał, chyba ułakomiony wielką zapłatą.

Wymawiał się, wymyślał przeszkody.

— Konie nie kute, jeden zatarty... klacz stara już słaba. Trzebaby ją przehandlować— na jarmark się wybieram.

Różne racye, tylko nie tę jedną prawdziwą, że mu od dziecka nie chciało się odjechać.

Ani się spostrzegł, że tę dziewczynę pokochał, jak własną.

Twarz jego surowa miewała grymas niepojętej wesołości, gdy go kto o znajdę spytał. Milczące usta rozwierały się chętnie do gawędy o niej.

Można go było udobruchać w najgorszej chwili jej imieniem, można było najlepszy humor popsuć, byle mu napomknąć, że mogą się znaleźć prawdziwi rodzice i dziecko mu odebrać.

Wtedy bywał niespokojny i wcale z chaty nie wychodził, tylko patrzył okienkiem ponuro na drogę, która mu pod wrotami biegła.

Ale lata mijały, dziecko rosło, Makar starzał, i nikt się po jego skarb nie zgłaszał.

Zmieniło się wiele na świecie, i aż w te odludne strony poczęły wkraczać nowe wynalazki. Gdy o dwie mile od wsi Makara wytknięto linię drogi żelaznej, ludzie złośliwi poczęli dogadywać staremu:

— Ot, dziadu, na wozie nie umrzesz, bo już ciebie nikt najmować nie będzie: skończyło się twoje panowanie!

Makar pogardliwie ramionami ruszał.

— Wielka mi historia — żelazna maszyna! Niech wozi, a *taki* ani ty, ani ta bestya tego nie zobaczy, na co ja się napatrzył po moich drogach. Hej, hej — moje drogi!

I zapadał w zamyślenie.

Jednakże wozić i jeździć nie przestał, owszem, zarobek przy budowie kolei miał codzienny. Woził kupców i inżynierów, dostawców i wszelaki naród cudzy, który się zbiegł do pracy i korzyści. Poznali go rychło, i codziennie był użyteczny. Najczęściej zaś woził młodego technika, nadzorcę robót przy moście żelaznym.

Most był w głuszy i odludziu, inżynier mieszkał w budzie z desek, znudzony brakiem towarzystwa i wszelkiej wygody.

Co dni kilka zrazu jeździł do wsi, gdzie mieszkało dwóch kolegów, i tam poznał Makara, jego chatę i jego wychowanicę.

Dziewczyna miała wtedy lat siedmnaście i była bardzo ładna i śmiała.

Gdy raz pierwszy inżynier wstąpił do izby, by zamówić furę Makara z powrotem do mostu, nie zastał starego, tylko dziewczynę.

Powiedziała mu, że „ojciec“ zaraz wróci, i bynajmniej nie zalekła widokiem obcego, krzątała się dalej po izbie, nucąc.

Młodzieniec zaczął rozmowę, odpowiadała swobodnie, zaczął żartować, odcinała mu żywo. Zajął go i zabawiała. Makar zastał ich jakby dawno znajomych.

Przez całą drogę inżynier zachwalał dziewczynę; starego głaskało to po sercu, uśmiechał się, polubił młodego.

Odtąd woził go często tu i tam. Droga była błędna, po moczarach, groblach, krętych ścieżynach i lasach — wiorst kilkanaście. Zwykle jechali nocą — dla oczu Makara nie było ciemności. Tak trwało przez parę miesięcy. Często gęsto wstępował inżynier do chaty, parę razy zanocował — a płacił hojnie. Wszyscy byli z siebie zadowoleni.

Zdarzyło się jednak, że Makar poróżnił się z sąsiadem, zawistnym o dobry byt i zarobek furmana.

Poszło o byle co — o wiadro u studni. Mieli ją wspólną, i w chwili, gdy Makar swe konie chciał spiesźnie napoić, tamten mu wiadro zajął.

— Mógłbyś zaczekać, aż ja skończę! — mruknął stary — twemu bydłu zostanie wody, a mnie spieszo w drogę.

— Jedź, jedź, durniu! Wyjeździsz sobie pociechę! — tamten urągliwie odparł.

Makar się obraził o swój fach.

— Jużem sobie wyjeździł, com chciał. Więcej, niż ty, to głupie bydło hodując i po gumnie łapcie rozdeptując.

— Baczże, by to, coś wyjeździł, nie wyjechało ci w świat żelazną drogą! — zaśmiał się sąsiad.

— Gadasz bałamutnie, jakbyś się na znachora uczył, — z pozorną obojętnością odrzekł Makar, i odzyskawszy wiadro, zajął się pojeniem koni.

Młody inżynier tymczasem w izbie na podwodę czekał, wcale do pośpiechu nie nagłąc.

Słowo sąsiada wpadło głęboko w głowę starego. Sumował, rozmyślał, a nadewszystko począł baczniej się rozglądać. I zauważył, że ludzie uśmiechali się na jego widok, a szczególnie uśmiechali się, gdy wioził inżyniera. I zauważył, że młodzieniec coraz częściej do chaty zagląda, i że dziewczyna, gdy go nie było, raz wraz zagląda w okienko.

Makar wszystkiego tego dopatrzył, zakarbował, niczego po sobie nie dając poznać; stał się tylko bardziej milczącym i mniej chętnym do wyjazdu. Zaczął też po wsi napomykać, że pora dziewczynę zeswatać, by dostać do domu młodego wyręczyciela i pomocnika.

Inżyniera zaś nie przestał wozić i przywozić, spełniać jego polecenia, służyć mu rzetelnie... Znowu upłynęło tak kilka tygodni. Gospodarski syn, chłopak porządny i pracowity, przysłał swe swaty do sieroty—odmówiła stanowczo.

— Czem ci on krzyw? — spytał jej spokojnie Makar, gdy swaty odeszły.

— Mnie ta każdy krzyw! Nie chcę żadnego — odparła.

— Czemu? lubisz kogo? — badał stary.

Poczerwieniała, ale wnet odzyskała rezon.

— Ja nie hodowałam się dla chłopaka na służbę!

— A na cóż? Na panowanie?

— Nie na panowanie, ale i nie dla gbur.

— Stefan nie gbur. Dobry chłopak, stateczny i spokojny. Takiegobym zięcia chciał mieć.

— Nic pilnego, — mruknęła.

— A właśnie, że mi pilno. Hodowałam ciebie nie na zmarnowanie. Rozumiesz? Tej jesieni chcę mieć weselisko. Nie chcesz Stefana — nie zmuszam. Przyjdą inne swaty wybierz innego, ale wybrać musisz!

— Jak muszę, to wybiorę! — odparła głucho.

Stary na nią popatrzał dziwnie, zawahał się, chciał jeszcze o coś spytać, ale się snadź nie ośmielił — i znikł.

Od tej rozmowy znajdował ją często płaczącą. Pytał ją o powód łez, ale nie potrafił wydobyć zwierzenia, więc przestał zagadywać. Stał się ponury i źle patrzył na ludzi.

Przyszły drugie swaty; dziewczyna odmówiła. Gdy zostali sami, stary już jej o nic nie pytał, ino rzemień odpasał i z groźną miną do

niej przystąpił. Zrozumiała, co ją spotka — razy — pierwsze w życiu. Groza odjęła jej mowę; blada, jak ściana, zmrużyła oczy, oczekując bólu.

Ale Makarowi na widok jej załęknienia zabrakło serca, zamiast uderzyć, na głowie jej rękę położył, do siebie przygarnął.

— Powiedz mi prawdę, doniu! — rzekł zeicha.

Dziewczyna łkając runęła mu do nóg.

— Nienawistny mi każdy! Nie zmuszajcie! — wyjąkała.

— Otumanił cię ten panicz! Powiedz! Wszystką prawdę wyrzuc z duszy! Toć ja cię chował! Od śmierci uratował maleńką... Krzywdy ci nie uczynię...

Wtedy dziewczyna uległa, wszystko wyznała.

Nie była szczęśliwą, ale otumanioną, upojoną gładkimi słowy młodego panicza. Roili się jej cuda i dziwy. Gotowa była, jak opętana, iść za nim na kraj ziemi.

Stary wysłuchał spokojnie, wciąż ją po głowie gładząc, nie strofował, ani morałami obarczył.

Na zakończenie pobłażliwie się uśmiechnął.

— Minie to, doniu, nie płacz! A jeśli on prawdę ci gada, to się pokaże. Nijakiego wstydu nie miej, boś nic złego nie popełniła, ino jak on tu przyjdzie znowu, to mu rzeknij, by mnie powiedział, jeśli prawdę zamyśla. Boć ty przecie nie będziesz uciekała ode mnie w świat z obcym, kiedy ja ci żadnej przeszkody nie stawiam. Kiedy on ci sądzony, to niech cię bierze, ale z mojem błogosławieństwem i wyprawą, i wyposażeniem. Rozumiesz?.. tak mu rzeknij, niech będzie koniec potajemnikom i bałamuctwu!

Dziewczyna jakby ożyła. Wróciła jej swoboda i wesołość i po dawnemu szczebiotała do opiekuna.

W parę dni potem Makar swą trójkę do wozu zaprzął i do mostu ruszył.

Odjeżdżając, rzekł do dziewczyny:

— Jutro rano śniadanie na dwóch przygotuj.

I uśmiechnął się, a ona pokraśniała.

Ale uśmiech starego prędko znikł, i tak zamysłony dalej jechał, że nawet znajomym na pozdrowienia nie odpowiadał i u krzyżów na rozdrożach czapki nie uchylał.

Wreszcie u żelaznego mostu stanął przed budą inżyniera, konie wyprzągł i czekając końca dziennych robót, leżał w trawie, ćmiąc fajkę od komarów. Tak go zastał młody inżynier, wracając wieczorem od zajęcia. Od pewnego czasu nie był już ze swym woźnicą tak swobodnym, jak dawniej.

— Akuratni jesteście, Makar, jak zegar! Cóż tam u ludzi słyszeć?

— Wszystko po staremu. Czy panicz zaraz ruszy?

— Oj zaraz! Dokuczyło mi tu do syta, przez tydzień.

Stary prędko konie zaprzągł, i po chwili ruszyli w drogę i wnet utonęli we mgle białej i chłodnej, która byle wieczór wstawiała z błot i pokrywała cały ten krajobraz.

Miało się już ku jesieni, i tęskność, i ciższa już ogarniały świat. Szkapięta Makara biegły niesporo, wóz chygotał po kępach i pniach; obadwa milczeli.

— Co się to świeci? — zagadnął wreszcie inżynier, wskazując jasność gdzieś w dali.

— Albo się świeci, albo się pali! — odparł zagadkowo Makar.

— Jakto?

— Bo bywają różne łuny. Bywają jasności i płomienie. W moich drogach różne ognie ja widywał.

— A to co wam się zda?

— Pokaże się, jak bliżej będziemy. Może to czart pieniądze suszy, albo po moczarach torfy się palą, albo dobro ludzkie idzie w perzynę.

— Wyście i czartowskie pieniądze kiedy po drodze znaleźli — zaśmiał się inżynier.

— Było i to, paniczu. Ja się czarta nie lękam, a nawet się złych ludzi nie lękam; sprzątnąłem dwóch w mojem życiu.

— Bój się Boga, człowieku. Zabiłeś dwóch ludzi? Za co? Dlaczego?

— Bo sięgnęli po moje dobro! — odparł Makar krótko i dobitnie.

Na chwilę urwała się rozmowa. Inżynierowi uczyniło się trochę niemiło; poszukał instynktownie rewolweru w kieszeni. Zostawił go z pośpiechu w domu. Koniki biegły i biegły. Byli na długiej grobli, świeżo rzuconej wśród trzęsawisk; z obu jej stron błyskała woda w głębokich rowach. Na dziesięć wiorst

wkoło nie było ni osady, ni żywej duszy. Położenie było nieosobliwe, ale inżynier po pierwszej chwili przykrego wrażenia odzyskał rezon.

— I jakże to było? — zagadnął, udając ciekawość i obojętność.

— Ano... pierwszy raz... to już bardzo dawno. Młody byłem. Jechało nas fur trzydzieści z łojem, aż do Rygi. Tabun okrutny, nikogośmy się nie bali. Aż z kolei nocleg nam wypadł w Białowieskiej puszczy. Nie taka ona była, jak teraz, była rzetelna puszcza. Roztarasowaliśmy się na polanie, z wozów uczynili obóz, konie popętane puścili w trawę i legli spać. Nad ranem: gwałt, hałas! Braknie pary koni—czyich? moich! Jakby w wodę wpadły—niema! Za głowę się porwałem, było choć się obwiesić! Towarzysze jak mogli, poratowali. Beczki z mego wozu rozebrali między siebie i precz pojechali. Został mi pusty wóz, bochen chleba, kilkanaście groszy w kieszeni, siekiera i nożyk. Pobiegłem w puszcę jak ogar, śladu wyszukując. Około południa natrafiłem. Poznałem kopyto prawego kasztana, co było pękłe i poleciałem za tropem. Dwie doby błą-

dziłem, wracałem, kołowałem, gubiłem ślad i znowu odnajdowałem, wreszcie trzeciego dnia przed wieczorem widzę—het, daleko ogień się pali. A ze mnie przez te dwa dni pogoni w gąszczu zostały ino strzępy odzieży, i nogi w ranach, i twarz poszarpana gałęziami, i kości a skóra—takem się zmordował i wygłodniał. A byłem w takiej *ryzyce*, że mnie ten zbójcecki ogień w takiej puszczy, żadnego lęku nie napędził, ino zawziętość wilczycy, gdy jej dzieci wybijają — a chytrość węzową.

Do ognia tego pędziłem godzinę, a gdym o krok był, już mi w oczach był on, jak krew czerwony. Patrzę — polana wśród stuletnich złomów. Kryjówka bezpieczna snadź, bo rabus o napad się nie troszczył. U drzew i wywrotów stało na uzdach kilkanaście koni — tak zdrożonych, że nawet nie sięgnęły do trawy; stojąc w niej po kolana, łby miały bezładnie zwieszane, oczy mgławce, nogi drgające. Patrzę: moje też są, zbiedzone doszczętnie.

Zbój leżał u ognia—rudy, ogromny chłop i spał. Przyszła nań godzina ostatnia — ani się spodziewał. Jakem go ciał siekierą w ów rudy łeb, to ino się rozległo, a on się pode-

rwał, raz stęknął, i tam został. A ja prędzej za moje konie, taj w nogi. Nie rusz mojego!

Zaśmiał się Makar złowieszczo i w tej chwili niepodobny był do dobrodusznego, pokornego furmana. Chwilę milczał, a wreszcie dodał:

— Kiedym w parę miesięcy tamtędy wracał, ciekawość mnie zdjęła zobaczyć onego. Droge zapamiętałem choć w gąszczach; gdzieś raz był—trafię bez namysłu! Pobiegłem tedy do owej kryjówki. Ze zbója mało co było śladu, ino czerep rozbity zostawiły wilki i kruki, i trochę większych kości bielą w trawie. Ale gdym dalej spojrział to mi ze zgrozy zęby poczęły szczekać. Cóżem to ja był z pośpiechu uczynił! Nie poodcinałem tych wszystkich koni i one tam niebożęta z głodu poginęły... ogryzły trawę, korę, pnie, drzewa — co mogły!

Biełały ich kości wszędy, a jam nad nimi zapłakał, i taka mnie opadła zgryzota, żem uciekł stamtąd, a za mną, zda się, szło śmiertelne rżenie tych niewinnych skazańców — i bardzo długo słyszałem to nawet we śnie, i zgryzota mnie żarła, żarła!..

Znowu milczenie. Inżynier sumował, nie śmiejąc napędzać do pośpiechu. Koniki drep-tały, mgły coraz gęstniały, otoczenie ginęło w zmroku, tylko ów blask na widnokręgu co-raz był czerwieńszy. Nagle Makar przerwał ciszę.

— Białowieża, puszcza... ale i w naszych lasach znam takie kryjówki, gdzie ino wilki są sędziami śledczymi, a kruki doktorami! Nasze lasy daleko się ciągną, aż do granicy. Kędyś tam zbutwiało do tych czasów—ten drugi, co po moje dobro sięgnął!

Inżynier już nie pytał. Staremu rozwią-zał się język. Nabił sobie świeżą fajeczkę i opowiadał, jak najzwyklejszą anegdotę:

— I to było dawno! Jednej jesieni cho-roba mnie przetrzymała długie czasy w cha-cie. Było i głodno, i chłodno, szkapy zmar-niały, mnie siły opadły, nie mogłem zimą pu-szczać się w dalekie drogi. Czyhał na tę słabość moją Hersz—Hund zwany, co ze szwa-grem smołę pędzili w grafskich lasach. Najał mnie z furmanką na całą zimę. Wozilem te-dy smołę i nie smołę — co mi kazali, i kiedy, i gdzie. Nigdy nie wahał co w beczkach było, a że żydowski interes noc lubi, więc no-

ce były bezsenne, i dni mozolne, i drogi złe. Wiadomo — bieda! Zapłacił bardzo nie dochodził, bom chciał wiosną konia dokupić, i chatę przebudować, i takem służył—za darmo, do czasu.

Aleć wiosna przyszła; proszę Hersza o pieniądze — odsyła mnie do szwagra — szwagier do Hersza, Hersz się wykręca, chowa, okłamuje — przewlekło się miesiąc, wreszcie całkiem się wyparł...

Na sąd — dobrze — juści krzywdy Wacan nigdy nie daruje, o swoje dobro się upomni, odbierze, co mu się należy. Będziecie mieli sąd!

Przestałem chodzić i dopominać się. Po roku żydzi zapomnieli — myśleli, że i ja zapomniał. Poczęli zagabywać o furmankę znowu. Czemu nie?... ja zawsze w drodze—to mój chleb.

Woziłem ich na jarmarki, woziłem ich towar, woziłem ich listy i pieniądze — płacili akuratnie, nie było kwestyi—tylko tamten rachunek.

Tak trwało lat parę, aż pewnej jesieni powstał popłoch u nich na smolarni. W nocy wpadł Hersz do mnie, zielony jak upiór.

— Makar! przewieź mnie do granicy.
Dam sto rubli!

— Ja nie przemytnik— powiadam— i stu rubli nie wezmę, bo to nie mój interes. Zapłacisz mi, jak zwykle, pięć rubli, i obrachujemy się za tamto — pamiętasz!

Zrazu się zaparł. W takim strachu, a kłamał i oszukiwał! — Jak sobie chcesz — powiadam—inaczej, ani się ruszę! Miotał się trochę, kręcił, mydlił, ale go napędzał strach. Węć wreszcie powiada: zgoda! Przebiliśmy ręką i ruszyli.

Pięć rubli dał mi zaraz, a ten rachunek— powiada—załatwimy, jak będę z tamtej strony. Jechaliśmy żywo, zawiozłem go w bezpieczne miejsce, gdzie nas nikt nie mógł podpatrzeć. Przebrodziliśmy rzekę—stanąłem.—No, Hersz— powiadam—teraz jesteś wolny, płacze, coś winien.— Obejrzał się, najrzał ścieżynę w gęszczu, z wozu zeskoczył i w nogi. Ino mi się roześmiał na pożegnanie. Rzuciłem się za nim, dognałem o sto kroków; potknął się o pień i upadł. Wtedy go odurzył biczyskiem kulem, a potem kołkiem dokonał. Było to puste, dzikie miejsce; po moczarach biegały blade

światelka, powiew wiatru sam je gasił i znowu zapalał opodal. One tylko świadkami były. Wróciłem do domu spokojnie. Coś w miesiąc szwagier Hersza mnie zagabnął:

— Zginał mi Hund! — powiada. — A rachunek z wami załatwił?

— Ano, więcej dochodzić nie będę — rzeknę.

— A ja jego szukać nie będę. Zginał Hund, drugi będzie; ino mi szkoda obróżki, co miał na sobie.

— Jak to?

— Ano, dwa tysiące srebrnych miał na sobie w pasie. Ktoś się obłowił!

I patrzy Żyd na mnie, świdruje oczyma.

A jam mu za całą odpowiedź plunął w brodę. Wacan za swoją krzywdę nie bierze pieniędzy.

Znowu głos starego przy tych słowach stał się podobnym do ryku głuchego.

Inżynier czuł, że odezwać się musi, ale w natłoku wrażeń i myśli nie mógł się zdobyć na stosowne słowo.

— Łuna coraz gorsza. Chyba wieś to się pali! — rzekł niepewnym głosem.

— Nie, to torfy na czarnem błocie — odparł Makar.

— Nieskoro dzisiaj idą wasze konie.

— Zdaje się panu. W porę staniemy. Panu do zabawy nie tyle się śpieszy, co mnie do kwiata mojego, do mojej jaskółki, dziewczyny.

I nagle głos, postać, całe jego zachowanie zmieniło się; jak o owych ogniach mówił na początku, tak się z nim stało. Dotychczas palił, niszczył — teraz zaświecił.

— Paniczu, ma panicz matkę? — zagadnął miękko.

— Mam.

— Białowłosa pewnie i dobra, i bardzo ukochana...

— Nadewszystko!

— Nie mówcie tego słowa. Młodzi starych tak nie kochają — tylko starzy młodych. A siostrę macie paniczu?

— Mam dwie!

— Panienki czyste i piękne, i szczęśliwe. Ich nikt się nie ośmieli zaczepić, ani sponiewierać. W pańskim stanie dobrze dziewczętom. I panicz szczęśliwy — matusię ma i siostry, a za jakie rok, dwa, żonę młodą pojmie i gnia-

zdo sobie uściele. A w gnieździe szczebiotu będzie pełno, i śmiechu, i śpiewu.

— O, widać Makar, żeście rodziny nie mieli, że tak się to wam przyjemne zda!—odparł inżynier, odzyskując powoli równowagę.

— A nie miałem! Rodziców nie pamiętam, krewnych nie miałem. Podobno ojca mego pan tu przysłał z innych dóbr—za karę, czy w nagrodę—nie wiem! Jak zapamiętam, chata była pusta; dlatego w niej i usiedzieć nie mogłem. Począłem się włóczyć... Jak te brzozy u gościńca mijały lata. Gdy z drogi wracałem, w izbie ino kot biegał, a i ten mnie nie znał, nie witał. Za młodu, to o to nie dbał, ale potem począłem mnie żal oblatywać.

Człowiek jest, jako drzewo, paniczu, potrzebuje korzeniami w coś wrosnąć i rość mieć, i słonko, i potrzebuje ptasząt, coby w nim świergotały, i potrzebuje im cień dać i ochronę.

A ja tylko korzenie miał i rolę, i słonko — a ptasząt u mnie nie było!

Będzie temu lat dwadzieścia na święty Michał — byłem w drodze, jak zwykle, daleko stąd, o mil może pięćdziesiąt. Wracałem do domu, nie kwapiąc się do tej pustki. Wieczór

był późny, chłodny; dymy jesienne już czuć było w powietrzu. Rośla mi się długa zima, i nuda w chacie, boć to drogi bywają złe, i mus każe izby pilnować. Patrzałem po drzewach, i zdały mi się inne, dlatego, że w nich już ptasząt nie było. Opadła mnie markotność. Droga szła lasem a lasem, aż ot przed sobą zobaczyłem na ziemi, trochę w prawo — czerwone ognisko. Od osad dalekie, w mglisty wieczór zastanowiło mnie. Cmoknąłem na szkapięta. Gdym się z niem zrównał, stanąłem. Ogień gorzał na skraju lasu, pod krzakiem, o dziesięć kroków od drogi. Mniejsza o to — byłbym go minął, ale u ognia coś leżało — szmata jakaś. Poszedłem, trąciłem biczyskiem. Było to zawiniątko w szarej chuście. Odchyliłem róg, a tu patrzy na mnie dwoje ślepiąt czarniutkich, jak pacioreczki, i ot — taki drobiazg śmieje się do mnie, i łapki wystawia — jak do matki. Sam nie wiem, jako mi się stało raptem — ałem to uchwycił, jak wór złota, i żeby mi kto wtedy drogę zagroził, byłbym się dał zabić, a nie oddał.

— Albobyście trzeciego zabili! — rzekł inżynier.

— Nie — odparł Makar dobitnie. — Kto ma jakie kochanie w duszy, ten już bliźniego nie zabije...

— A cóżecie przed chwilą mówili! Że swej krzywdy nie darujecie nigdy!

Makar się stropił, zamyślił, ale opanowała go już światłość tylko, a płomienie zgasły, więc się dziwnie uśmiechnął, wpół dziecinnie, wpół gorzko — i rzekł:

— Była prawda, com mówił, i teraz prawda. Możebym i zabił teraz — ale i sambym nie żył. Jest we mnie wielka moc, ale i wielka słabość. Wy paniczu, mnie jeszcze teraz nie pojmiecie, ale może kiedyś, później, jeśli zapamiętacie Makara Wacana — to wam się to zda prawdą.

Młody ma pełno kochania — bawi się, używa, bierze i rzuca. Potem powoli się opamięta — powoli traci i cierpi. Płacze po ojcu i matce, po krewnych i druhach, czasem po żonie i dzieciach. Ale panicz niech pomyśli jakbym ja płakał i coby mnie w duszy było — gdybym stracił to ptaszątko moje, co na starem już drzewie, zaświergotało i zhodowało się. Czy panicz pojmie jakby jęczał człowiek,

coby w jeden dzień pochował i matkę, i żonę, i syny, i druhy, i krewne, i miłe!

A jakby ja zabił, a potem umarł — coby za dziw był!

Obejrzał się na młodego i popatrzał nań chwilę tak rozpacznie, że tamten oczy odwrócił i na twarz mu powoli wybił się rumieniec.

Po chwili kłopotliwego milczenia odezwał się:

— A toście wtedy możenajwiększąkrzywdę uczynili. Może po was, u tego ognia, matka szukała dziecka — i nie znalazła!

— Nie może być — stanowczo Makar zaprzeczył. — Boże to światło było — i Boży dla mnie podarek.

— Za tych, coście pozabijali?

— To byli tacy, co w Bożych księgach nie stoją — rzekł Makar, zupełnie pewny siebie. — Gdybym źle wtedy zdziałał, toby mi Bóg ją odebrał. Przecie choroby są u Boga i różne nagłe zgony — wzięłyby ją — a ot uchwalała się w całości.

Bogactwo to moje i dobro, i uradowanie — jako w zimie ciepło, a w skwar kryniczna woda, tak miła. Dostatków nijakich przez wiek nie

zebrałem, anim pragnał. Póki jej nie było, sam nie wiem pocom żył i pracował, a teraz — to inobym chciał, by nie kto inny, a ona — łzy mi śmiertelne z oczu otarła — i swemi rękoma do trumny ubrała. Tożem na tyle zasłużył, panie!

Ostatnie słowa wymówił błagalnie, jakby się gorąco modlił.

Młodzieniec nisko głowę pochylił, i ta jego zabawka z dziewczyną wydała mu się czemś tak smutnem, złem — prawie świętokradztwem! Makar nieznacznie myśli jego czytał z twarzy, i coraz jaśniej czyniło mu się w oczach.

A koniki biegły, biegły — na ową jasność za borem. Wreszcie wynurzyli się z lasu i ujrzeli przed sobą palące się błoto. Na tle pożaru czerniał wielki krzyż na rozdrożu, a dalej już opłotki wsi.

W czerwonej łunie ujrzeli swe twarze, i Makar z cicha, wahajaco, spytał:

— Czy panicz u mnie zanocuje?

— Nie, Makarze; ruszaj wprost do kolegi — odparł młodzieniec. — Nie wstąpię do ciebie ani dzisiaj, ani jutro. Za dwa dni pojedę w odwiedzinę do matki... nie wiem czy tu już wrócę.

Różne gadki umiesz — prawda — są płomienie i światła — ale to bacz, że nie pożary mnie straszą, ale światło duszę mi porusza.

No, teraz popędzaj szkapę i jakim dosłuchał twej gadki do końca, to ci wyznam, żeś zmyślił dwie pierwsze historye i — niepotrzebnie. Było od razu od trzeciej zacząć.

Makar dziwnie się uśmiechnął, jakby nie wierzył i pozwalał zachować młodemu to mniemanie, nie dając się w błąd wprowadzić, jakby z lekka szydził. Potem zwrócił się do podróżnego, i już bez uśmiechu pocałował go w rękę.

Więcej nie mówili ani słowa; sprawa była załatwiona, wszelkie węzły zerwane. Znowu Wacan był najemnym furmanem tylko, inżynier wielkim panem. Mała nitka, która ich łączyła prysła na zawsze.

W parę dni potem raz ostatni siedzieli razem na jednym wózku. Odjeżdżał inżynier do rodziny. Zawiózł go Makar do kolei, zdrożył szkapę, byle na czas trafić — i odmówił zapłaty, raz pierwszy w życiu.

— Nie godzi mi się od panicza teraz nic brać i nie wezmę! — uparcie twierdził.

Pozostał aż do odejścia pociągu, i ścigał oczyma latarnię ostatniego wagonu — długo —

długo. Gdy w oddali znikła, odetchnął głęboko i, gramoląc się na wóz, mruczał:

— Bodaj mi taka już nigdy więcej nie zaświeciła, bo i gromnica nad nią miłsza. Ptaszátko moje.. moje!

W parę tygodni potem wyszły zapowiedzi Makarowej wychowanki z wójtowym synem.

ZŁĘ

Nie było we wsi sławniejszej dziewczyny nad Paraskę.

Matka ją wczesnie odumarła i dziewczynina od dziesięciu lat została panią i gospodynią w chacie. Ojciec zrazu chciał drugą żonę brać, ale za dużo wydał na znachorki, a potem na pogrzeb — rozmyślił się — tylko przygarnął siostrę wdowę — i tak pozostało. Po kilku latach i siostra okazała się zbyteczną. Paraska wystarczała do roboty.

Chłop był bogaty ale sknera, wygnał siostrę, a córkę wyzyskiwał, jak dorosłą.

Ona się tem chlubiła. Zapracowana od świtu do późnej nocy, za honor sobie miała ten trud nad siły; rosła, piękniała i coraz sławniejszą była na całą wieś — ba, na okolice!..

Najcieńsze były jej płótno, najbielszy chleb, najwcześniejsze żniwo, najsmaczniejsza strawa.

A pięknaż była, smagława od słońca, złotowłosa, smukła, wysoka, a wesola, a pieśniż umiała setkamil.. Bóg wie skąd je brała, ale coraz dziewczęta rówieśnice i sąsiadki słyszały nową i uczyły się od niej, z zawiścią pytając kto ją ich uczył.

Śmiała się odpowiadając:

— Skąd? Albo ja wiem! Wiatr niesie, bór gada, ot — i wszystko.

Nikt się nie dziwił, gdy przyszły do niej pierwsze swaty; miała lat piętnaście. Zdziwił się tylko stary, który o niej nigdy nie myślał.

— Czego wy ludzie? — zagadnął na ich widok.

— Po waszą dziewczynę, dla naszego Seweryna!..

Chłop milczał, potem się oburzył.

— Ot, wymyślili! A ja bez niej zostanę?..

Weźmijcie Seweryna w prystupy.

— Onże za rok idzie do wojska. Smarkacz!

— I ona młodziutka. Jak tych gołębiat parę, mieć będziesz w chacie, na twoje stare lata. Do wojska może go nie wezmą...

— Cóż to mnie takim starcem czyniciel! Mogę ja sam jeszcze żonkę wziąć i własne

dzieci hodować, a nie wnuczeta. Zabierajcie wódkę — i idźcie z Bogiem gdzieindziej!

Gdy mu przekładać i namawiać zaczęli, wygnał ich z chaty nieparlamentarnie, i raz pierwszy niewinnie Paraskę zwymyślał.

Potem coś w tydzień na seryo zaczął o ożenku rozmyślać i mówić o tem kumom.

Dziewczyna struchlała. Lęk ją zjął, żal, oburzenie za krzywdę. Macochy się doczeka!

Upadła mu do nóg, warkoczami zamiatając ziemię.

— Ojczuniu rodzony, sokole, łabędzie! Nie róbże wstydu, nie wydawaj mnie na pośmiewisko i poniewierkę. Czyż ja ci nie służyła, nie robiła? czy ja ci nie dogadzała?!.. Za to mi macochę dajesz? matczyną mogiłę burzysz! Ulituj się ty!

Zamiast ulitowania, stary raz pierwszy rękę na nią podniósł, zbił, nogami skopał i za drzwi wyrzucił.

I zamiast Seweryna młodego przybyła macocha do chaty, dziewczka ze dworu, jęczycziwa, łakoma i próżniaczka. Z nią przybyły swary i nieporządek. Paraska nie skarżyła się, ani rozpowiadała ludziom, tylko przestała dbać

o chatę, gadać z ojcem i zaczęła chodzić do dworu na zarobki, nie z potrzeby pieniędzy, ale żeby nie patrzeć na macoszyne rządy.

Na zarobki chodził też Seweryn, jeden z pięciu braci na dwóch zagonach pola. Poznała go dopiero wtedy Paraska. On zrazu się boczył, urażony odmową, potem zaczął ją wyśmiewać i dogadywać macochą. Ale dziewczyna przetrwała już żal i zawód — odcięła mu się raz i drugi ostro, więc przestał drwić; zapanowała między nimi cicha nienawiść.

Od roboty ze dworu wracali jedną ścieżką, na przełaj przez łąki i nie gadali do siebie. Po wieczery on na nocleg wyganiał braterską klacz, ona ojcowskie woły, i znowu się spotykali na wygonie, nad strugą, pod lasem — i znowu milczeli. Dziewczyna powoli wróciła do równowagi, zaczęła pieśni śpiewać. Tylko smutniejsze; on słuchał, leżąc w trawie i myśląc o żołnierce w dalekiej stronie.

Głos dziewczyny do boru szedł i odbity o sosny wracał, rozpływał się po wygonie w białe mgły ubranym.

Czyż ja w ługu nie kalina była?.

Czyż ja w ługu nie czerwona była?..

Wzięli-że mnie połamali,
W pęczki drobne powiązali
Gorzka dola moja, czarna dola moja!..

— Czego wy biadacie dziewczęta? — odezwał się raz parobczak. — Z ojcowskiej chaty przejdzie do mężowskiej, o dwa kroki — i tyle. Ot, jak ja pójdę, to nie na drugie podwórze.

— Pójdiesz to i wrócisz.

— Do czego! Przez ten czas *braty* moją część stracą, albo sprzedadzą. Do niczego wróć!

— I to prawda! — Potwierdziła Paraska.

Zaczęli tedy rozmawiać. Czasami inni pastusi zbierali się do nich — cały tabun młodzieży swawolnej i brutalnej. Nie wiedzieć, jak do tego przyszło, ale zaczęli towarzysze tych dwoje prześladować kochaniem. Stali się celem żartów i dogadywań, i tak bezwiednie i oni wreszcie w to lubienie uwierzyli.

Pierwszy Seweryn, pewnego wieczoru, podchmielony na chrzcinach u brata, przyjechał cwałem do kompanii i wesoło spytał:

— Niemajeszczemojeykaliny-dziewczyny?..

A znowu raz w noc księżycową Paraska wyrwała się z chaty i, choć ojciec sam woły

wygnał ukradkiem w pańskie łąki, przybiegła do pastuchów na wygon, i śmiejąc się wołała:

— Hej, chłopcy a gdzie mój gwardzista?

I tak się pokochali.

Stare baby kumoszki z wielką uciechą zaczęły Paraskę sądzić i krytykować, ale krzywda, doznana od ojca, zepsuła już duszę dziewczyny.

— To jemu wolno mnie krzywdzić i poniewierać, na drwiny wsi wystawić? Prystupy nie chciał, wołał żonkę próżniaczkę! Jaki on mi ojciec, taka ja mu będę córka!—mówiła zuchwale.

A Seweryn w karczmie ze starego się naśmiewał.

— O twoją zgodę i pozwolenie tyle dbam, co o stare postoly.

Stary znosił już apatycznie wszystko. Od sianokosu zaczął cherlać i schnać: musiał się zbytnio przemęczyć, czuł że go ziemia woła i zobojętniał na ludzkie mowy i czyny.

W chacie przybyło dziecko, żona go poniewierała, czując się silniejszą i w synu mając pewność panowania w chacie po jego śmierci. Wyglądała nawet tego końca, by się pozbyć sknery dziada i pohulać.

Przybycie nowego dziedzica odbiło się też gorzko na Parasce. Nie była już bogatą je-dynaczką, pożądaną na całą okolicę. Stała się jedną z tysiąca dziewcząt, które wyjdą za mąż z wianem w odzieży i kilku sztukach dobytku.

Poczęto o niej mówić, trochę lekceważyć—tylko Seweryn się nie zmienił, i ona przez wdzięczność za to lubienie, była jeszcze bardziej czuła i oddana. Znosiła mu przysmaki, oddawała często zarobione pieniądze, nie umiała mu od-mówić.

Lato miało się ku schyłkowi, bywały deszcze i chłodne rosy. Do schadzek swych upatrzyli sobie miejsce w olszynach, które osła-niały ich od wichru i deszczu. Noce stawały się dłuższe, więc poczęli sobie na wygonie ognisko kłaść.

Seweryn troskał się o swój pobór i ekwi-powanie żołnierskie. Brakło mu pieniędzy.

Z daleka, nieśmiało, zagabywał o nie Pa-raszkę.

— Nie mam! — odpowiadała smutnie.

— Ty nie masz, ale u starego są! — od-powiadał.

— To co? Albo on da!..

— Sama weź, głupia! Oneż twoje z prawa, a potem macocha zagarnie i przepadną!

— To grzech! — bąknęła — i ja nie wiem, gdzie on je chowa!

— Można dopilnować! Gdyby ty mnie naprawdę lubiła, toby ty mnie poratowała. Ja tobie za to zginąć nie dam. Jak wrócę, to się pobierzemy i odprocesujemy od macochy połowę gruntu, i budynków, i dobytku.

Paraska umilkła.

On ją tak codziennie namawiał i tłómaczył, czasem groził, czasem zapowiadał, że śmierć sobie uczyni. Aż pewnej nocy dziewczyna przybiegła późno czerwona i zdyszana.

— Dopilnowałam, gdzie chowa! — szepnęła.

— Gdzież? — spytał parobczak żywo.

— W komorze pod lewym węglem.

— Dużo jest?

— Nie wiem. Garnuszek!

— W komorze! Toć tobie tylko sięgnąć.

Nie wiesz? Żółte czy białe?

— Białe, takie duże!

— Mniebyś tylko garść dobrą przyniosła, to wystarczy, a stary nawet się nie obejrzy!

— Straszno! — szepnęła dziewczyna.

Zaczął ją tedy całować i pieścić, nazywać jagodą i kwiatem, i ptaszkiem, i złotem.

Dziewczynie dusza topniała—topniały skrupuły. Sobą zajęci, otuleni mgłą, nie usłyszeli kroków bosych, nie ujrzeli widma, które zwabione blaskiem ognia, szło ku nim od lasu.

Nareszcie stanęło tuż i spłoszyło westchnieniem i stęknieniem.

Była to stara żebraczka, napół obłąkana, snująca się od dawna po okolicy. Wszyscy ją znali, i każdy się bał „złego“, które w niej mieszało. Niechętnie przyjmowana na nocleg, żyła po drogach, zbożach, lasach—nieczuła na skwar, mróz, głód — rzadko kiedy przytomna. Przyszła do ognia, rozgrzała swe chude ręce, pokaleczone nogi i przykucnęła na ziemi naprzeciw nich, zapatrzona w czerwone główne, poruszając bezdźwięcznie ustami.

Oni, mimowoli przelekli jej obecnością, odsunęli się od siebie, umilkli, z pod czoła rzucając jej niechętnie spojrzenia.

Nareszcie parobczak śmielszy zawołał:

— A czego ty, babo, przyszła do mojego ognia?...

Stara drgnęła, rzuciła się wstecz, jakby uciekać chciała.

— Czy to ty znowu?—zajęczała.—Trzeba mi zawsze ciebie spotykać! Moja dola! Nie karz—pójdę sobie stąd!

Wlepiała weń oczy obłąkane, przerażone.

Parobczak się zachnął.

— Tfu, przepadnij! A jaż pierwszy raz do ciebie się odzywam!

— Jakto pierwszy? A wtedy na wiosnę, kiedym pod lasem zasnęła na miedzy, a tyś mnie zbudził, nogą kopiąc: „Ty, czegoś mi miejsce zabrała?” — krzyczałeś i pocałeś bić, a ja uciekłam, a tyś mnie gonił. I tak dotychczas gonisz po świecie! O przekłety, przekłety!

Zakryła oczy i tarzała się po ziemi wyjąc.

Młodzi chcieli odejść, ale jakaś groza i ciekawość zarazem trzymała ich na miejscu.

— Cyt!—szepnął Seweryn—ona widzi złe, poczekaj, niech gada! Zapytaj ty, co jej jest!

— Babo—zawołała Paraska.—Co ci się roi? Toć tu nas dwoje żywych ludzi tylko. Nikogo więcej. Co ciebie męczy?...

Kobieta spojrzała na nią, powoli wracała jej chwilowa przytomność. Głosem przeciągłym i żalonym poczęła mówić:

— Oj dziewczyno, dziewczyno! Męczy mnie, męczy już piętnaście lat. Byłaż ja niegdyś, jak

i wszystkie! To przyszło wtedy, jak mi jednej zimy wszystko troje dzieci pomarło. Chodziłam jak błędna, Boga klęłam, sobie śmierć chciałam zrobić. I wtedy on mnie na swoje miejsce przyprowadził! Wiesz ty — on takie miejsce ma! Widziała ty na łąkach takie szmatki trawy, co jej nijakie bydłę nie zaczepi? widziała ty takie znaczzone drogi, na których się piasek kręci? takie drzewa, co z nich nigdy liść suchy nie opadnie? To jego znaki, tamtędy on chadza, tam się kładzie, tam nocuje... Już w ową noc na takie miejsce trafiła. Doloż moja, dolo!

Potoczyła się u ognia i poczęła bić głową o ziemię, ryć ją palcami. Potem nagle zerwała się, spojrzała na Seweryna, wrzasnęła: „To on!“ i uciekła, bez drogi, bez celu, przed siebie ku lasom.

Paraska patrzyła za nią, bez tchu, onie miała zgrozą.

— Chodźmy stąd, chodźmy!—szepnęła po chwili—może on naprawdę gdzie się wałęsa!

Drwiąc z niej, parobczak usłuchał. Poszli ku wsi, i po drodze on ją znowu o te białe pieńki starego prosił, kusił wszelkimi sposobami.

— Zobaczę! — odpowiedziała mu na rozstaniu.

Przez kilka dni pasowała się z sobą. Nie chodziła w olszyny, siadywała beczynnie w domu w milczeniu, tocząc bój z sobą.

Nareszcie Seweryn niecierpliwy, wywabił ją któregoś wieczoru za stodołę, w kąć i przypuścił ostatni szturm.

— No, co będzie z nami? Jeśli mnie poratowania nie dasz, pošlę swaty do Hanny starosty. Bez pieniędzy niema mi drogi, ni obrotu!..

Nic nie odrzekła, przerażona, tylko jej się łyzy puściły z oczu, i wtedy ostatni skrupuł upadł.

Tejże nocy, po omacku wpelzła do komory. Pamiętała dobrze miejsce, nawet już ją lęk odstąpił — przykucnęła w wiadomym kącie. Garnek wkopany był głęboko, przyłożony kamieniem i beczką ze zbożem. Usunęła te ciężary nad jej siły, dobrała się do kryjówki.

Zanurzyła rękę. Chłód ją ogarnął, mrowie przebiegło po ramieniu. W tejże chwili drzwi od chaty skrzypnęły, w sieni rozległ się kaszel i stękanie starego.

Dziewczyna zmartwiała. Dokąd on pójdzie?.. do komory zapewne, duszno mu w izbie...

Pomimo ciemności zdało się Parasce, że go już widzi we drzwiach, z klątwą na ustach i siekierą w garści.

Potem zdało się jej, że to nie on, ale *tamten*, o którym mówiła żebraczka... Kiwał do niej z za węgła. Chciała się przeżegnać, ale nie miała siły wydostać ręki ze srebra, upływały minuty długie, jak lata. Stary po omacku odnalazł drzwi do podwórza i wyszedł. Parasce wówczas wróciła przytomność.

Wzięła garść pieniędzy, zakryła napowrót garnek szmatą, potem denkiem—zasypała ziemią, postawiła na miejscu beczkę.

Pot zimny okrywał jej czoło, serce biło silnie, do rana nie mogła zasnąć.

Przy śniadaniu stary rzekł do żony:

— Coś dzisiejszej nocy stukało w komorze. Słyszałaś?..

— A cóż! Może gdzie tam masz zakopane grosze, to się do nich *zły* dobierał. Wiadomo komu z takich sknerych pieniędzy pożytek.

— Grosze! skąd? — oburzył się. — Albowiem gdzie kradł, czy rozbijał!

Paraszkę znowu mrowie objęło. *Złe... ciągle* że o niem słyszeć będzie?

Seweryn odebrał srebrne ruble. Dziękował, całował pieścił, obiecywał cuda. Powoli okropne wrażenie zatarło się w pamięci dziewczyny; myślała wciąż o coraz bliższem rozstaniu z ukochanym.

Dni leciały, jak ptaki, i przyszedł ten ostatni, gdy rekruci poszli ze wsi w daleki świat. Wtedy zrobiła się Parasce zima i śmierć, i nuda niczem nieogarniona.

Przestała śpiewać i śmiać się — milcząca i ponura przędła po całych dniach.

Przyszły swaty jednej jesieni, przyszły drugiej i trzeciej, nareszcie i przychodzić przestały.

Stary i mały drwił ze stałości dziewczyny, ona się zasklepiała sama ze swym uporem i milczeniem, wierzyła fanatycznie w swego chłopaka. Nareszcie trzeciej jesieni, niespodziewanie zjawił się, uwolniony przed czasem, z powodu wypadku z nabojem, który mu urwał dwa palce u prawej ręki. Wprost ze szpitala szedł, wymizerowany, ale rad, że do wsi wraca.

Jak przewidział odchodząc, bracia podzieliли się, rozdarli ojcowiznę, poniszczyli dobytek i budynki.

Już na drugi dzień zaczęły się swary, na trzeci doszło do bitwy. We czterech łatwo pokonali Seweryna i wyrzucili na ulicę.

Wtedy dopiero przypomniał sobie Paraszkę i wstąpił do ich chaty.

Stary był już tak słaby, że prawie ciągle leżał, macocha rządziła wszystkim, dobierając sobie coraz to nowych parobków.

Seweryn wywołał Paraszkę do płotu, rozpowiedział swą biedę.

— Chciał ja ciebie zaraz brać—ale ot doła!.. Trzeba z *bratami* sąd uczynić.

Przyznała mu słuszość. Czekala tyle, przeczeka i to jeszcze. Dusza jej odżyła na jego widok... teraz wszystko jej się wróci!

Ale na sądy pieniędzy trzeba; im więcej, tem prędzej koniec.

Oddała mu nieboga wszystkie swe oszczędności, wszystko, co ukryć mogła przed chatą z zarobionych przez te lata pieniędzy.

Chłopak przyjął spokojnie, jako słuszną należność, parę tygodni włóczył się po miasteczkach, naradzał się z pokątnymi doradcami, wrócił z dobrą myślą, ale bez grosza.

Sprawa się rozpoczęła. Pierwszy wyrok zapadł pomyślny. Musieli Seweryna przyjąć bracia. Przyjęli, ale zaczęli codzienną wojnę i prześladowania tak dokuczliwe, że trzeba było znowu do sądów się zabrać, znowu kołatać do Paraski o ratunek.

Seweryn odwykł od pracy, zasmakował w wałęsaniu się, poczęstunkach i gawędach z adwokatami, kierował się na urwisa, ale dziewczyna tego nie widziała w swem zaślepieniu.

Wszystkie swe marzenia i honor założyła w tem małżeństwie, coraz bliższem i pewniejszym. Będzie ono jej tryumfem i rehabilitacją, i dołą, tak drogo okupioną. Przestanie więc wydziwiać i szydzić, a potem te same adwokaty, których poznał Seweryn—odbiorą od macochy jej część!

Dużo goryczy i złego osiadło jej duszę przez te lata oczekiwania, dużo zawziętości i chęci odwetu. Więc, gdy Seweryn znowu zaczął błagać o pieniądze, bez wahania postanowiła wziąć znowu srebra z ojcowskiego skarbu.

Była to zimowa noc. Na dworze szalała śnieżyca, wył wicher po nieopalanej komorze, po wsi psy poszczekiwały żałośnie na wałęsające się głodne wilki.

Paraska leżała w chacie na ławie u drzwi, oczekując aż mocny sen wszystkich ogarnie.

Czekała długo, aż się ojciec uspokoił. Tamtych była pewna. Stary stękał, jęczał, przewracał się ciężko z boku na bok — wreszcie się uciszył.

— Może umarł! — pomyślała dziewczyna, raczej z zadowoleniem, niż ze strachem.

Pocichu się podniosła, bez szelestu otworzyła drzwi i wysunęła się do sieni.

Drzwi od komory skrzypnęły trochę, ale wicher wszystko głużył.

Zabrała się do dzieła.

Jak niegdyś, odsunęła beczkę, odrzuciła kamień, zanurzyła rękę do kryjówki. Ogarnęła ją zgroza. W garnku nie było już ani jednej sztuki srebra. Dziewczyna zdrewniała. Co teraz będzie? Co da Sewerynowi? Wtem, gdy tak klęczała w kącie, komora rozjaśniła się czerwonym blaskiem smolnej drzazgi.

W progu stał stary i patrzył na nią strasznie oczyma. Nie zmora tym razem, ale on sam, w bieliźnie, bosi, z rozczochraną siwą głową i brodą, jak się zwłókł z pościeli, usłyszawszy skrzyp drzwi. Jedną ręką za uszak

się trzymał, drugą świecił drzazgą. W oczach mu rósł obłęd, usta się otwierały do krzyku.

I nagle rzucił drzazgę, poskoczył ku dziewczynie. Światło upadło na ziemię, powlekło się dymem, gasło. Jeszcze w ostatnim błysku oświetliło dwoje ludzi, pasujących się z sobą, potem zgasło... W ciemności rozległ się upadek ciała, jęk, potem szybkie kroki, i znowu tylko wicher wył, szalała śnieżycą, poszczekiwały psy głucho...

Nazajutrz pochowano starego, a zaraz potem Paraska się położyła na ciężką gorączkę. Chorowała, jak zwykle chłopci. Bez porady lekarskiej, bez opieki i dozoru. Nie prosiła jeść ni pić, więc zapomniano o niej. Zostawiono ją na łaskę i niełaskę choroby. Ona nawet nie wiedziała, co się z nią dzieje, miewała maligny i hallucynacje, wyschła na drzazgę, osłabła tak, że wreszcie i oczu nie otwierała, nie wydawała głosu.

Natura zdrowa i silna sama bojowała ze śmiercią.

Gdy pewnego dnia bój ten zakończył się zwycięstwem życia i dziewczyna otworzyła oczy, zdziwienie w nich było, że widzi znowu czarne

ściany chaty, małe okienko, a za nim płot i ulicę.

Tyle czasu bliżej była nieznanego, dalekiego, niż tej ziemi — wracała od progu śmierci!

Spojrzała, zbyt słaba, by przemówić, wodziła tylko oczyma, łowiąc porwane wspomnienia. Gdzie była?... W ojcowskiej chacie, czy gdzieś w cudzej? Ojca nigdzie nie było, a naprzeciw posłania na ławie za stołem, siedział Seweryn.

On sam, ze swą czarną czupryną i zuchwałemi, drwiącemi oczyma.

Jasność przemknęła po żółtej twarzy chorej; jak w obraz, patrzała w niego.

A on się odezwał, i na ten głos zabiło serce Paraski.

— Gnił ten grzyb tyle lat i ciebie marnował. Jeszcze to szczęście, że pieniądze nie przepadły.

— Oho, albo to ja głupia! Dopilnowałam! Ty za dziewczyną chodził, a trzeba było za mną! — odparł wesoły głos macochy.

Wysunęła się z za pieca z misą strawy w rękę. Postawiła ją na stole, poczęli we dwoje pożywać.

Seweryn się roześmiał brutalnie.

— A mnie co za strata?... Chodził za dziewczyną niedarmo i do ciebie przysłał w porę.

Kobieta uderzyła go łyżką po rękę, a on ją wpół objął i pocałował.

Oczy Paraski zamknęły się znowu, i skurczyła się, jak w wielkim bólu. Ale nie jęknęła nawet, nie dała poznać, że żyje, i nie spojrzała więcej na chatę.

Nazajutrz i dni następnych czatowała, gdy izba była pusta; zwlekała się wtedy, pokrywając jadła chleb i piła wodę. Gdy tamci wracali, leżała nieruchoma. Tak trwało tydzień, siły jej wracały, i nareszcie pewnego dnia zastała ją macocha, siedzącą na ławie.

Zdziwiła się, zagadała jakby nic. Paraska nie odpowiedziała słowa. Wrócił Seweryn — przestraszył się — był pewien, że umrze.

Nie spojrzała na niego, ani się odezwała, nie rzekła nic sąsiadkom i kumom, co się zbiegły przez ciekawość ją oglądać.

Była niema i obojętna jak kamień.

Jakiś czas macocha i Seweryn krępowali się jej obecnością, potem, wobec jej niemoty i obojętności, odzyskali swobodę. W jej oczach pieścili się, mówili o swej przyszłości. Mieli

się już pobrać po Wielkiejnocy. Pół postu już upłynęło, rachowali niedziele do Przewodów.

Po całej wsi gruchnęła wieść, że Paraskę zły opętał, mowę jej odjął. Mówiono jej to nawet z pierwotną chłopską otwartością, a ona słuchała, jak i reszty, nie zdradzając niczem, że ją to boli, straszy lub oburza.

Tygodnie mijały, a ona nie rzekła słowa.

Z jakąś dziką łapczywością pożerała strawę i nie zajmowała się niczem w chacie; siedziała bezczynnie, wpatrzona w okienko, a czasem wychodziła na podwórze, rozglądała się po niebie, ziemi, wciągała w nozdrza powietrze, patrzała po nagich drzewach.

Oczekiwała widocznie wiosny.

Gdy przyleciały kawki i skowronki, stała się niespokojniejszą—częściej wychodziła i dalej. Spotykali ją pierwsi oracze na polu błędzącą bez celu, zapatrzoną pod stopy i zawsze milczącą. Nie odpowiadała na pozdrowienia, wracała do chaty tylko z nocą, i często we śnie słyszał Seweryn, że zamiast się położyć, chodziła po izbie, trapiąca jakimś niepokojem.

Już dawno wygnanoby ją z chaty, ale się jej lękali zabobonnie. Była w ich pojęciu niebezpieczną i silną przez złą moc.

Więc jej nikt nie rzekł złego słowa, nie bronił jeść, nie napędzał do roboty.

Nareszcie przyleciały bociany i Paraska przez trzy noce i dni nie wróciła do chaty.

— Może sobie nareszcie śmierć uczyniła!— rzekła z ulgą macocha.

Ale czwartego dnia przysła. Obłocona, odarta, zmokła, z pokrwawionemi stopami.

Spojrzała po chacie zpodęłba, czy niema jakich przygotowań świątecznych, i legła spać.

Gdzie była, ile drogi zrobiła, po co?.. nikt jej już nawet nie pytał. Przestano do niej mówić... „Złe ją wodzi—i koniec!“...

Odtąd odwiedziny jej w chacie były coraz rzadsze i krótsze. Czasami wieczierzających o zmroku przerażała jej twarz tragiczna, blada, zagładająca przez okienko. Pilnowała ich,— była to straszna opieka.

Nadeszła Wielkanoc. Szykowano się w chacie do wesela. Cały ten czas Paraska przesiedziała w domu. Ze swą niezbadaną, martwą twarzą śledziła ruch, przygotowania, bicie wieprza, pieczenie ciasta, uprzątnię komory.

Oczy jej, dzikie, powiększone wychudzeniem twarzy, szły jak szpiegi za każdym krokiem macochy i Seweryna.

Stara, mądra baba, krewna, która im pomagała w robocie, patrząc na nią, to się żegnała, to spluwała naprzemian.

— Żeby za mną kto tak oczyma wodził— rzekła—tobym ze strachu umarła!...

— Ot, przywykliśmy! — odparła obojętnie macocha.—Złego ona nic nie czyni.

— Niechnoby spróbowała! — burknął Seweryn, który był jednakże rozdrażniony tem cichem prześladowaniem.—Zabiłbym, jak wściekłego psa!..

— Ho, ho!—pokiwała głową baba.—Żeby to można było „jego“ zabić! O ho, ho!

Paraska słuchała bez znaku, że słyszy.

Gdy wyjechali do ślubu, stała we wrotach i przeprowadziła oczyma, potem gdzieś przepadła. Gdy wyjeżdżali po ślubie i mijali wiatrak na górze piaszczystej, družba rzekł do nowożeńca:

— Widzisz, Seweryn, twoją Paraskę, jak ciebie wygląda!..

I potem wskazał ganek młyń, gdzie biała i smukła, jak widmo, dziewczyna stała, i od blasku zachodu zakrywając oczy, patrzyła ku nim.

Gdy minęli młyn, skoczyła z tej wysokości na ziemię.

— Zabije się!—krzyknął družba.

Ale szalona podniosła się i poszła prędko, ku łąkom, jakby ją jakiś wichur gnał.

Była uciecha w chacie, skrzypki i wódka. Paraska się nie zjawiała. Były śpiewy i tańce—nie przyszła na nie. Nikt jej nigdzie nie widział.

W olszynach, kędy niegdyś pieścił ją Seweryn, leżała piersią do ziemi, bez ruchu...

Nagle zdało się jej, że szmer słyszy i ciche kroki, i szelest rozchylanych krzaków.

Podniosła głowę. „On“ stał nad nią! Czarny, straszny, z ogniem w oczach.

— Ty nie wiesz, że to moje miejsce!—zawył, aż jej mróz przeszedł po kościach.—Naznaczę cię sobie! — dodał, wyciągając po nią garść obrosłą, zakrzywioną, jak szpon.

Za włosy ją uchwycił — uczuła na czole jakby ranę, jakby ogień. Zerwała się i jak zwierz, poczęła pędzić przed siebie.

— Gore!.. Gore!.. Gore!..—wołało coś w niej.

Wybiegła na drogę. Noc była cudna, jasna, miesięczna, pełna woni i ciepła. Wieś stała przed nią, jak srebrna, w lekkiej mgłę wiosennej—cicho było—jeszcze kury nie piały.

Dziewczyna poszła bez drogi, poza gumnami, aż do płotu, gdzie się niegdyś spotykała z Sewerynem. Wsunęła się do chałupy.

Nowożeńcy spali w komorze. Posłuchała ich oddechu, weszła do izby... Znalazła na ścianie swój sierp, stanęła u okna, obciąła nim swój warkocz, cisnęła w piec.

Potem namacała zapałki, siekierę, zasunęła w sieni skobel komory, potem podparła drągiem drzwi od podwórza, wspięła się aż pod strzechę słomianą, rozgrzebała ją starannie, włożyła w środek garść lnu, zatliła zapałką.

Ani się zawahała, ani nawet się kryła.

Księżyc ją w pełni oświecał, i, gdyby kto z sąsiadów wyrzął, uratowałby wieś.

Ale sen pierwszy po ciężkiej pracy bywa ciężki, a jeszcze kury nie piałły.

Błysnęło czerwono na strzesze, zatrzeszczała sucha słoma, przebiegły po niej iskry, jak mrowie, i zaraz potem zahuczał płomień.

Paraska osunęła się na ziemię, zachychootała zcicha, uskokczyła na gumno i stanęła na polu, założywszy ręce. Patrzała dziko na swe dzieło—czekała jeszcze czegoś.

Strzecha cała stanęła w ogniu. Wewnątrz rozległ się krzyk grozy, potem ryk nie ludzki.

Komora nie miała pułapu, ogień zalewał ją, jak morze—dziewczyna wiedziała o tem. Już zgiełk ogarniał całą wieś, rzucali się ludzie do własnego ratunku, o płonącej chacie nikt nie pomyślał, ani o tem, że tam ludzie giną.

Cicho było niezwykle. Płomień nie rzucał się dalej, tylko szedł, jak pochodnia, w górę. Jęk ucichł w komorze, waliły się już słupy i belki.

Ludzie powoli odzyskiwali przytomność, dalsi przybiegli z hakami, z wiadrami, poczęto w żar ten wlewać wodę.

Zewsząd też rozlegały się pytania:

— Seweryn gdzie?.. Kobiety nie widać?.. A chłopak?.. Co im?.. Pouciekali ze strachu?..

Dopiero, gdy już ściany się zapadły, i lęk o wieś zupełnie ustał, znaleziono w rowie na gumnie dziecko. Snadź okienkiem się wydostało, dopełzło aż tam i omdlało.

Było poparzone, przyduszone dymem, zupełnie nagie. Tamtych nie było.

Wtedy ludzie zaczęli ich wołać, szukać, wnioskować o przyczynie pożaru.

Płomienie opadły, chata była rumowiskiem dymiących resztek, kupą główni jeszcze czer-

wonych, wśród których, jak nagrobek, sterczał biały komin. Mrowie ludzkie otaczało pogorzel; srebrny, zimny księżyc przyglądał się z nieba.

Wtem ludzie się rozstąpili, ucichli nagle. Paraska przeszła wśród nich milcząca, jak widmo. Przyszła do zgliszcz i weszła do środka, stąpając obojętnie po żagwiach.

Schyliła się, trąciła coś czarnego nogą, powstała tak chwilę, potem się wyprostowała, zachychotała, pędem strzały przebiegła wśród tłumu i pognąła w pola, a za nią szedł śmiech i skomlenie dzikie.

Tedy ludzie rzucili się też do zgliszcz: tam, gdzie ona się schyliła, u drzwi komory leżały dwa czarne, okropne trupy.

— Seweryn z żonką! — wyszeptano ze zgrozą.

I zrozumieli wszysecy pożar...

Za szaloną nikt nie gonił. Ci ludzie pierwotni pokiwali tylko głowami, splunęli, poszeptali zcicha i poczęli się rozchodzić. Zgliszcza popielejące i te dwa trupy—tõ było wszystko, co zostało z ojcowizny Paraski i z białych „groszy“ starego.

Dziecko sierotę przyjęli sąsiedzi, zagarnęli też pole i dobytek; nazajutrz uprzątnięto gruzy,

pochowano zwęglone ciała, i wszystko we wsi poszło swym trybem. Na śledztwie nic nie wykryto, nikt nie wydał Paraski. Była dla tych ludzi pod obroną „złego,” nikt jej nie śmiał zaczepić i w gruncie duszy przyznawali jej słuszość.

Ona długie czasy nie pokazywała się we wsi. Widywali ją tylko pastusi na mogiłach. Chodziła wśród krzyżów, zdejmowała z nich fartuchy ofiarne i ubierała się w nie.

Bywała też nocami na wygonie, kędy olchy czerniały nad strugą, i siadywała u ognisk. Odzyskała mowę, ale tylko śpiewała. Śpiewała wszystkie swe dawne pieśni, tylko je mieszała jedną z drugą i kończyła dzikim chychotem.

Zresztą nie czyniła nic złego, zaczęła też potem do wsi zachodzić, na dawne swe gumno, na miejsce chaty, gdzie sąsiad ogródek założył. Rwała stamtąd maki i chwasty, plotła wianki, stroiła się w nie.

Zwykle tak chodziła, w szmatach białych, odartych z krzyżów, i w tych wiankach na głowie obnażonej, na uciętych włosach złotych. Zimą zachodziła do chat, i nikt jej nie wypędzał. Jadła bardzo mało, nie miała nigdy obuwia, nie żebrała nigdy, ani prosiła o cokolwiek.

Dla tych wianków i śpiewów przezwano ją „Mołoduchą“ (panną młodą). Gdy na nią kto tak zawołał, obzierała się na niego oczyma, które gorzały dziwnie, a miały taką straszną moc w sobie, że powstrzymywały drwiny u najzuchwalszych. Lękano się jej ogólnie.

Przetrwała tak długie lata, zimna i głody, niedostatek wszelaki, poniewierkę gorszą od zwierzęcia, żadna choroba lżej się nie miała nawet. Coraż stawiała się bielszą i chudszą i zda się wyższą, coraz bardziej do widma podobną, wreszcie tylko oczy jej pały wśród kości policków.

Śpiewała zawsze. Wśród wygonów, pustek, grzęzawisk, gdzie ją wiodła moc straszną, słyhać było często—w burze, deszcze, zawie-ruchy jej głos przeciągły i pieśni weselne, które na tych ustach i w tem otoczeniu miały tragiczny majestat niedoli.

Raz ostatni późną jesienią słyszeli ją ludzie, wracający z jarmarku, pod cmentarzem. Chodziła między krzyżami, w koło, jakby w jakimś powolnym tańcu.

Głos jej się tłukł w ciężkiej mgle.

Czyż ja w stepie nie trawa była?
Czyż ja w stepie nie zielona była?
Wzięli-że mnie, pokosili,
Moją krasę wysuszyli!...
Taka dola moja--czarna dola moja!..

Odtąd nikt jej więcej ani słyszał, ani widział. Zginęła, jak liść, co opada, jak jęk, co cichnie, jak krzywda, co się zaciera w pamięci, jak kamień, co w wodę padnie.

Mówiono, że ją to „złe“ całkiem do siebie porwało, bo ni kości jej nie znaleziono, ni śladu. Wspominano ją długo po wieczornicach prządek; była zrazu strachem żywym, potem bajką, wreszcie legendą—i tem została...

NA TORACH

Szymon Derkacz stał na progu kancelaryi pańskiej i milczał. A po za biurem pan pionował:

— Mówiłem ci, stary, żeś głupiec i wariat, gdyś sobie młodą żonkę brał. Tyleś lat przeżył bez tego dodatku i byłem z twej służby rad. Teraz pod twoim nosem zwierzyne tłuką, drwa kradną, bydło pasą — a ty chodzisz, jak senny. Jak dłużej tak będzie, to służbę stracisz i świadectwa nie dostaniesz. Wtedy nie miej do mnie żalu, bom cię nieraz ostrzegał.

Chłop podniósł oczy bure, w których widniały wściekłość i zapamiętanie bezgraniczne. Głos jednak był pokorny i głuchy, i postawa niewolnika.

— Proszę pana, ja wiem kto zwierzyne bije i drwa kradnie. Jeden na moją zgubę na-

staje, jeden mi krew pije. Ten zbój Andrzej Owada!

— Kiedy wiesz, to go pojмай na gorącym uczynku, strzelbę odbierz, i do sądu pójdzie.

— Ja go żywcem nie pojme! — głucho ze wstydem i zaciekłością mruknął chłop.

Istotnie wątły był i niskiego wzrostu, twarzy bladej i chudej, ułomek człowieka.

— Strzelba jego ukryta w lesie, codzień gdzieindziej. Niema dla niego ni mrozu, ni zamieci, ni bagna, ni wody. Pan może nie wie — a ot ja drugi tydzień nie śpię i strawy nie jem, a za nim chodzę. Spotkałem raz przy cietrzewiu na tokach. Żebro mi złamał i nogami w błoto wdeptał. Jeszcze drwił, odchodząc, i proch i śróć z torby mi zabrał. A świadków skąd wziąć w borze? Cieciorzy chyba!

— Weź kogoś do pomocy. We dwóch dacie mu rady.

— Nie, teraz już on mój będzie! Dostyć wstydu i zgryzoty najadłem się przez niego. Niech pan mi ten raz daruje. Może jutro, może za dwa dni przyniosę panu Andrzejową strzelbę.

— Pamiętajże! dopatrz, gdzie ją ukrywa, i niech się to raz skończy.

Szymon uklonił się w pas, tak nisko, że jego długie włosy dotknęły prawie ziemi, i ujął za klamkę. Potem raz jeszcze się zwrócił i spytał:

— Cietrzewie na tókach dozwała się bić?

— Można, bo zbyt one czujne, by się łatwo dały podejść! — odparł pan żartem.

Twarz chłopca skrzywiła się uśmiechem szyderczym, pokłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Na dworze był późny wieczór kwietniowy. Zaraz za dworem cisza wielka stała się nad łąkami, cisza przesiąkła wonią pąków, ciepłych powiewów i tajemnem wrzieniem budzącego się życia.

Opodal na wsi błyskały światełka nisko nad ziemią, a górą chwilami biegł szum i drżenie powietrza, trącanego lotkami ptaków wędrownych, które spóźnione nadażały co sił na letnie siedziby. Strażnik szedł krokiem myśliwca, prędko, bez szelestu, ledwie tykając ziemi, jak zwierz, z którym w swym lesie obcował.

Kocie jego oczy, pomimo chmurnej, bezmiesięcznej nocy, widziały każdy wybój drogi, każdą kałużę. Minał dworską wysadę, groblę— wszedł w ulicę wioskową i zatrzymał się u karczmy.

Zajrzał przez szybę do wnętrza, oczy mu zamigotały zielono, jak u wilka, zawarczał przekleństwo — i wszedł do szynkowej izby.

Mało było ludzi. Dwie kobiety targowały się z żydem o płótno, jakiś pijak z profesyi wyśpiewywał sprośne piosenki, wójt dworski namawiał kilku chłopaków na służbę, — zresztą mało było ruchu i wrzawy. Wprost drzwi siedział parobek na schwał piękny i wysmukły. Siedział beczynnie, z ręką za czerwonym pasem, w czapce na bakier, i gwizdał, patrząc drwiąco na chłopaków, godzących się do dworu.

Czuł się najsilniejszym, najpiękniejszym, a zuchwałość i bezczelność biła mu z twarzy.

Na widok strażnika uśmiech mignął mu po ustach, i nie zmieniając postawy, rzekł do żyda:

— Srul! Dworacy ci dzisiaj całą wódkę wypiją!

Szymon podszedł do szynkwasu, wypił raz po raz dwa półkwatki, zażądał tytuniu, i nabijając fajkę, rzekł do wójta:

— Nie wiecie? Można dostać się na „prostki“ do Powity? Pan mnie tam z listem wyprawił.

— Pewnie! że można, ale szmat drogi, i podłej!

— Nic to. Jutro na wieczór wrócę.

— A nie boisz się, że ci żonę ukradną! — zaśmiał się parobek urągliwie.

— Cietrzewie na tokach wolno bić! — odparł.

— Wolno? Tylko, że nie ty ich podejdiesz, maro! Tybyś i do przywiązanego nie trafił. I po co to takie kukły chlebem karmią! Strażnik to — ta pchła!

Wyprostował się i na stół rzucił garść srebra.

— Srul!... Dawaj wódki! Żebym ja strażnikiem zechciał być, toby inaczej szło! Ale ja nie stał w pokłonach włosami ziemi wycierać, i nie stał prosić i słuchać i cudzą wolą żyć!

Wójt podniósł głowę i rzekł:

— Ty, Andrzej, hodujesz włosy pod areztanckie nożyce. Nie gębuj bardzo. Nie jeden ty złodziej, i nie największy. Panujesz do czasu!

— Jeszcze was wszystkich przepanuję, dworskie pokurcze! — zuchwale rzucił parobek.

Nalał sobie szklankę wódki, wypił i splunął.

— Moc moja i wola moja! A wy drżycie przede mną, jak kura przed szulakiem!

— Ja nie drzę! — ozwał się spokojnie Szymon. — Ty las kradniesz, zwierzyinę kradniesz i żonkę mi bałamucisz. Ja to wiem i wiedzą ludzie. Każdy wie, żeś łotr i złodziej. Dokuczyłeś całej wsi, stu dobrych cierpi przez ciebie, gałgana. To krzywda. Przyjdzie po ciebie sprawiedliwość. Pan mi kazał twą strzelbę do dworu przynieść, i ja ją przyniosę!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się zuchwale parobek. — A dużo masz jeszcze całych żeber?

— No, no! Tobie radzę mojami ścieżkami nie chodzić!

— Aha, pewnie! Chodzę tam, gdzie mi się podoba!

Wziął się pod boki i zaśpiewał:

A przy płocie czeremszyna na straży —

Czy się do mnie moja miła odważy?

Ja kwitnącą czeremszynę rozgarnę

I do siebie moją miłą przygarnę!...

— Hi, hi, hi! — zaśmieli się chłopcy, spoglądając szyderczo na Szymona,

Ten o jeden cień poblądł na twarzy, przez wąskie wargi błysnęły zęby w grymasie. Nie odrzekł, pociągnął dymu z fajki i wyszedł. Za nim rozległy się śmielsze drwiny i śmiechy, grube żarty i koncepta.

Andrzej położył się wreszcie na ławie i udawał, że drzemie. Upłynęła tak godzina. Ludzie poczęli się rozchodzić, Żyd z żoną wysunęli się do alkierza.

Wtedy Andrzej wstał i wyjrzał oknem.

Ciemna noc, i pusto na ulicy. Coś jakby lenistwo czy niechęć trzymało chwilę parobka na ławie. Potem ogarnął siermięgę i wyszedł.

Ludzie już spali. Dla niego rozpoczynała się dopiero praca. Żył jak wilk — w nocy. Szedł powoli i rozmyślał: czy pójść do starosty, gdzie wczoraj wypatrzył kosz z kiełbasami w świronku, czy do dworu, gdzie zawsze było coś do uprzątnięcia na gumnie, czy podkopać się do żydowskiego alkierza?

Szedł aż za wieś niezdecydowany, gdy go od boru, wśród cichości nocnej doleciało tokowanie cietrzewia. Potem bek dziki, przeciągły kozła. Razem z tem graniem, szedł stamtąd dech paków, wyziewy gorące, i jego krew obję-

ła żądza do pięknej, młodej żony Szymona. Wyprostował się, wciągnął w nozdrza wiosenne tchnienie, i już bez wahania ku borom zawrócił.

Droga, zrazu piaszczysta i szeroka, przechodziła nieznacznie w wygon pusty, pocięty bydlęciami ścieżkami, i urywała się zupełnie u krzaków, stanowiących podszycie boru.

W ciemności ziemia, pole i te krzaki — były jedną masą szarą i tajemniczą.

Tylko im bliżej lasów, tem gwarniej. Rozróżnić można było wabienie się kaczek, i przełatywania, i głosy trwożne i radosne, a ponad wszystkim górowały cietrzewie i bek koźli.

Andrzej chwilę szedł pod ścianą krzaków, potem w jakiejś sobie znanej szczelinie przepadł. Była to jego złodziejska ścieżka, a szła zygzakiem, jak trop każdego rabusia i zbiega.

A za nim — jeszcze na piaskach, powstał cień człowieka, który go oczekiwał, leżąc nieruchomo w cieniu sosen cmentarnych.

Powstał i szedł jego tropem, jak za wilkiem chadza ryś. Ruchy jego były kocie i oczy błyszczały w ciemności zielono.

Pod stopą wilczą niekiedy zaszeleścił liść jesienny lub złamała się gałązka, ryś zda się

płynął po ziemi, niczem nie zdradzając swej obecności.

Andrzej się nie kwapił. Właściwe toki jeszcze się nie rozpoczęły, były to przygrywki, urywane akordy — rozbite po całym lesie.

Więc szedł, nasłuchując, układając plan, wreszcie stanął — i uzuchwalony ciszą, zapalił fajkę.

Wązka struga, wezbrana, w obramowaniu czarnej olszyny, przecinała jego ścieżkę. Na uboczu stała osika ze złamanym wierzchołkiem i bielą pniem z kory odartym.

Andrzej obejrzał się tu i tam, poczekał chwilę i podszedł do niej.

Zdjął switę i po gładkim pniu wdarł się na wierzch. Gdy ześliznął się na ziemię, miał już na plecach torbę i strzelbę.

Wtedy, jakby poczuł wielką moc, ruszył dalej już śmiało, po znanych sobie tylko brodach i kępach, i gwizdał z cicha. A była to ta sama zuchwała piosenka z karczmy, a on szedł — do straży.

Leśniczówkę jodły otaczały, cieniem podsunął się aż pod ogrodzenie — wprost świecą-

cego okienka i trzy razy zahukał jak sowa:
Pój-dź! pój-dź!

Żałosny, posepny okrzyk obił się o bór,
i po małej przerwie załopotwały skrzydła tuż nad
jego głową.

Sowa usiadła na jodle i odpowiedziała na
wołanie. Jednocześnie z chaty wyszła biała po-
stać kobiety i szła cicho ku ogrodzeniu.

Zaszemrał szept tajemniczy, potem chrzęst
płotu i ciche kroki — szelest rozchylanej jedliny,
i wszystko ucichło — tylko sowa zleciała na
chatę i raz jeszcze zahukała żałośnie.

Cietrzewie tokowały na cyplu lasu, wsunię-
tym ostro w szerokie łąki błotniste.

Nie był to jeszcze ranek, ani świtanie, ale
jakby dogasanie nocy. Rosa padała z szele-
stem i rzeźwy powiew szedł od łąk, a niebo
począło odcinać się od ziemi i nabierać prze-
rzystości i bursztynowych na wschodzie smug.

Tokowały trzy koguty na wysokich, bez-
listnych dębach.

Ze spuszczonemi skrzydły i roztoczonym
w wachlarz ogonem, z nabrzmiałą, czerwoną
brwią, grały zapamiętałe, pyszniąc się swem
świetnem upierzeniem i siłą. Rzuciły akord

po akordzie, szybko, z coraz krótszemi przerwami, zapalając się do szału, chcąc współzawodników zagłuszyć. Było coś wściekłego w tej zapalczywości. Niekiedy porywał się jeden i z sykiem leciał na przeciwnika. Wtedy w cichości bój się poczynął, i okrwawieni, rozlatywali się, by znowu napełniać las namiętną pobudką. Cicho, zrzadka gdacząc, przelatywały samki i zapadały w gąszcz młodych zarośli. Ledwie ich się domyślać można było po ruchu krzaków i dyskretnem kwoktaniu. Aż w krańcu boru biegło z echem budzącego się świtu granie toków.

Przytulony do drzewa, nieruchomy, od godziny stał Andrzej na czatach.

Parę razy mógł ubić ciecioreę przelotną ale on się uwziął na koguta, który odegnał dwóch innych i tokował najgłośniej.

Oczy myśliwca śledziły ptaka, który, jakby przeczuciem wiedziony, umykałmu z pod strzału, krążąc z dębu na dąb, zapadając w gąszcze, wybierając niedostępne gałęzie. Niebo coraz jaśniało. Smugi bursztynu były już perłowe z różową obwódką — lada chwila toki ucichną do następnego świtu.

Nareszcie Andrzej ostrożnie strzelbę podniósł, chwilę ścigał ruchy ptaka, wreszcie za cyngiel targnął. Padł strzał jeden, a prawie razem i drugi. Ptak uciał w połowie akordu, podleciał w górę i ciężko począł spadać, ciężko bijąc skrzydłami. I wokoło załopotwały cieciorzy, odlatując ile sił, i tok ucichł, skonał w echu boru.

Wszystko to trwało sekunde. Gdy drugi strzał padł, Andrzej podskoczył, za bok się uchwycił i zawył z przerażenia i bólu.

Obejrzał się i spostrzegł na skraju błota, po kolana w wodzie stojącego Szymona, który strzelbę od twarzy odejmował i patrzył nań z dziką ciekawością.

— Ty łotrze, zabiłeś mnie! — wrzasnął Andrzej, blednąc z bólu.

Przez palce, z boku lała się krew strumieniem, ogarniała go okropna słabość i chęć—do ziemi.

Przyklęknął i uderł garść mechu, zatykając nim ranę, ale nie zdołał, bo palce mu tężały pot zimny okrywał twarz.

— Sobaczy synu, łajdaku, gałganie! — jął mówić, a piana biegła mu z ust razem ze słowami.

Strażnik wyszedł na stały grunt, stanął o parę kroków od niego, i jał, nie kwapiąc się, nabijać swą jednorurkę.

Z pod brwi z szatańskim grymasem patrzył na leżącego wroga.

— Powiodło się nam dzisiaj, Andrzeju!—zaśmiał się drwiąco.—Był ty na tokach, był i ja. Zabił ty koguta, zabił i ja. Ale że ty kradł, a ja nie, to ja wezmę twoją strzelbę i zwierzynę. Mój szrut i proch jest też w twojej torbie: może zwrócisz teraz.—Już ci nie potrzebne.

Ranny się poderwał, i gdy strażnik rozcinał mu ramię torby—plunął mu w twarz, razem z przekleństwem.

Głos miał już słaby i zduszony, ale jeszcze wściekłość w oczach. Plwocina była krwawa.

Szymon obojętnie otarł twarz rękawem i poszedł w gąszcz. Po chwili wrócił z kogutem i strzelbę Andrzeja podniósł z ziemi.

— Cietrzew jak drop. Ino się zjuszył, jak i ty. Ano—boście tokowali dzisiaj obydwaj!

— Oj, konam!—jęknął ranny, rzucając się na ziemi, w kałuży krwi.

— Pograj, może na twój wab cieciora ze straży przyleci, taj ciebie opatrzy!—zaśmiał się dziko Szymon.

— Bodajes zdechł, sobako!

— Ty prędzej zdechniesz! Mówilem ci: „Ścieżkami memi nie chodź!“ Naści za mój wstyd i trud, i moje złamane żebro i siniaki. Czeremszyna za strażą cię wabiła, twoja miła kradziona była, jak wszystko twoje. Teraz niechże cię śmierć przygarnie, ty złodzieju!

Andrzej rzucił się raz jeszcze i plunął. Już mówić nie mógł i wściekłość w oczach uchodziła przed bólem i wielką bojaźnią. Pozostał rozkrzyżowany, palce wpił w ziemię i chrapał, a piana na wargach była krwawa. Tymczasem słońce wschodziło, i cały las i łąki wyzłociły się, zatętniały życiem.

Ptactwo błotne poczęło się uganiać i krzyzczeć wesoło, w borze zawrzało od krasek i dzieciółów.

Strażnik cietrzewia do torby przytroczył, torbę kłusownika wypróżnił i cisnął w wodę, potem na niego popatrzał i rzekł urągliwie:

— Głupcze! Zatokowałeś się w swem zuchwalstwie. Ślepyś był i głuchy, żeś mnie nie słyszał, jakem za tobą szedł od wieczora. Szedłem niedaleko, i wszystkom widział i słyszał. Rozumiesz—wszystko. Dlatego ubiłem cię, jak

psa, i dlatego naści! Oddaję ci twój ostatni podarek. Na!

I plunął na niego.

Andrzej wyprężył się w ostatnim kurczu. Słońce wyrzało w tej chwili ponad bagna i odbiło się w jego oczach, już bielmem zasnutych.

Żrenice nie zadrgały od blasku, twarz nie skurczyła się przed obelgą—nieme były usta.

Szymon trącił go nogą, potem wziął za pas i pociągnął aż w bagno.

— Niechże cię tu raki obiorą, złodzieju!— zamruczał, zabierając się do odwrotu.

Jeszcze raz spojrzął na polankę.

Kałuża krwi już wsiąkała w ziemię — do jutra śladu jej nie będzie. Bagno za tydzień pożre trupa, okryje szczątki bujną trawą, nikt z ludzi nie będzie szukał złodzieja! Zginął—to i dzięki Bogu.

A gdyby i znaleźli trupa, odkryli sprawcę, żaden z tych ludzi pierwotnych nie potępi i nie wyda Szymona. Jelenie mają rogi, a cietrzewie dzioby i pazury; ci dwaj mieli strzelby i podobne jeleniom prawo — i etykę niemal zwierzęcą. Słabszy użył podstępu—to jego prawo.

— A świadki moje cieciory! — zamruczał Szymon po chwili rozmyśłu.

I to uspokoiło go zupełnie. Żaden głos w sumieniu się nie podniósł, żadne skrupuły go nigdy nie utrapiały.

Ruszył rażno ku dworowi ze zdobyczą.

Ranek był cudny, a on nawet wesół, jakby się pozbył zmory.

— Gadał pan, co na tokach ubić trudno, bo ptak czujny. Aha!... czujny!

I zaśmiał się z szatańskim tryumfem. A potem znowu się zamyślił.

— Panu wszystko jedno. Oddam moją strzelbę, a jego sobie zostawię. Bije, jak sztuciec! Do koguta było ośmdziesiąt kroków—liczyłem—a padł i nie drgnął. A od mojej to ten się walał tyle czasu! Fuzya, kiedy „żywi,” nie warta pistona.

Ucieszył się tym pomysłem i znowu drugi projekt jął układać.

— Poczekaj, zawabię i ja sowę którego wieczoru. Niechno wyjdzie do płotu. Za włosy do czeremszyny uwiążę, i zsiekę, ile mocy. Głaskał ja, milczał—pogłaskam sforami.

A na tę myśl oczy jego zwiężały się i aż żółkły wyrafinowanem okrucieństwem, a wąskie usta układały się w grymas zajadły cichej zaciętości i zemsty.

I tak szedł wśród cudnej wiosny i ranka słonecznego — w wonnej rosie, w barwach, w śpiewie, w całym uroku i piękności młodej natury i świeżego życia.

I był wśród całego stworzenia plamą i fałszem, i szpetotą, i rzeczą chybioną i krzywą.

SKRET

T3923

Falowały zboża i zakwitły właśnie, gdy pewnego wieczoru Sachar pastuszek wpadł do ojcowskiej chaty, wystraszony i zdyszały:

— Ojcze! — szepnął tajemniczo: — u nas skręt jest w życie.

Gospodarz przerwał wieczerzę, żona upuściła garnek.

— Gdzie? Kto ci mówił?

— Ja sam latał zobaczyć, bo mi chłopcy gadali. Jest skręt, „przeciw słońcu“ tam, za gruszką.

— Głupiś! — burknął ojciec, a matka już rozpoczynała lament.

— Moja dola ciemna, nieszczęśliwa! Teraz zguba na nas przyjdzie... Nie będzie to żyto nasze widziało ni stodoły, ni żaren, ni dzieży! Zginęliśmy, przepadli!

Gospodarz splunął i milczał, ale już po łyżkę nie sięgnął. Sąsiadka, co wstąpiła na chwilę, pokręciła markotnie głową i prędko wyszła, by wieść po wsi roznieść.

I gruchnęło od chaty do chaty:

— U Semenów w życie skręt jest! Przyjdzie na nich „lichy!“

Semen do dnia nie czekał, w nocy poszedł sam się naocznie o swem nieszczęściu przekonać.

Za gruszą dziką, aż het ku lasom biegły pasem jego zagonki, a tuż przy miedzy ktoś garść zboża zgarnął i skreślił w węzeł. Tyle tylko, ale chłop patrzył na to ze zgrozą i przerażeniem.

Były to okropne czary. Kto to uczynił, znał największe zaklęcia, włożył w ten skręt moc niesłychaną złego! Tknać — groziło chorobą; wyrwać — groziło śmiercią; zostawić — groziło zniszczeniem dobytku i mienia.

Chłop nie tkął, bał się nawet kłaść sprawcę, ze zwieszoną głową wrócił do domu.

Nazajutrz cała wieś mówiła tylko o skręcie, każdy szedł go oglądać, szeptano różne racje, powody, zgadywano sprawcę. Semenicha

płakała i łamała ręce, przypominając, czem kogo rozgniewać mogła.

W kilka dni potem u Semenów zdechło cielę, trochę później zginęła owca, wreszcie Sachar dostał febry.

Skręt poczynął okazywać swą moc.

Ruszył stary Semen po ratunek do bab i znachorów, ale otrzymał odmowę. Żaden nie chciał skrętu zaczepiać. Nareszcie jeden, podumawszy, rzekł:

— Na skręt ma moc jedna, ale może już pomała, stara Zozula z Drewicy! Zresztą nikt!

Drewica leżała o pięć mil, czas był robczy, ale Semen się nie wahał, klacz zaprzął i pojechał z wódką, chlebem i groszami w chustce.

Na wygonie za wsią spotkał kobietę chudą, w odartej odzieży, pasącą gęsi kilkoro.

— A dokąd to jedziecie? — zagadnęła.

— Jadę pomsty szukać na tym gałganie, co mi skręt zrobił. Zozula z Drewicy go odgadnie i pokarze.

Kobieta nie rzekła słowa, przykucnęła na ziemi i dumiała. Po długiej chwili zegnała gęsi do chaty i weszła do izby.

Mąż jej, krawiec kulawy, beczynn timerzał na ławie; nędza wyzierała ze wszech kątów, na stole nie było nawet chleba kawałka nakrytego obrusem, w piecu nie było ognia na wieczerz

— Michał, wiesz ty, dokąd Semen pojechał? — szepnęła kobieta.

— Odczep się odemnie! — burknął chłop.

— Do Drewicy pojechał, do Zozuli!

— Niech jedzie do samego czorta!

— Czyś się duru najadł? Toć Zozula ciebie nauczyła jak skręt zrobić, teraz na ciebie go odkręci!

— Nu, to co? Co mi weźmie? Pole zabrały braty, krowę wziął wilk, dziecko w piasku, chleba niema, chata się wali! Niema czego u mnie kręcić, bo i nogi już pokręcone? Ty sama durna!

Kobieta usiadła w kącie i płakała, a chłop, rozdrażniony, dalej mówił:

— Niech bogacz postęka. Oszukał mnie, za robotę nie zapłacił, złodziejem nazwał, za ten głupi kawałek sukna, co mi zbiegł. Poprzysięgłem, że go drogo będzie kosztował, i będzie. I Zozula mu nie poradzi... Mocnom zrobił... A ty milcz, bo zęby ci powybijam!

Krawczyni wiedziała, że spełni groźbę, więc nie nie rzekła, tylko ze strachem wyglądała powrotu Semena.

Drugiego dnia pod wieczór, ujrzała go na drodze. Wiózł z sobą babę stałą, drobną, suchą, o świdrujących oczach i wąskich ustach, straszną Zozulę. Zdawało się kobiecie, że stara wie, kto ona i co myśli, i czego się lęka, bo popatrzała na nią przejmująco, a gdy wóz minął, obejrzała się raz jeszcze i poruszyła ustami.

Bez tchu wróciła do chaty.

— Zozula przyjechała!—oznajmiła mężowi, drżąc.

— Ach! — zdziwił się chłop. — I co powiedziała?

— Nie wiem! Dopiero com spotkała. Polecę, dowiem się!...

Michał nie bronił. Kobieta pobiegła w ulicę.

Około chaty Semena już tłum bab szepotał i czekał. Nie śmiały wejść do izby, tylko przez maluchne szybki zaglądały trwożne, oczekujące czegoś strasznego.

Zozula siedziała na ławie, wprost ogniska, tajemnicza, milcząca, kolącemi oczyma patrząc po wszystkich i poruszając bez słów ustami.

Wysłuchała po raz setny opowieści o skręcie i wreszcie spojrzała w okno, i rzekła:

— Miesiąc wszedł, pójdziemy na to miejsce!

— Sami pójdziecie? — spytała Semenicha.

— I wy wszyscy. Weźcie, gospodarzu, nowy garnek z żarem, taj prowadźcie.

Po chwili ruszył korowód. Na żarzące węgle rzuciła baba garść ziół jakichś; dym duszący snuł się, ogarniał ich, i tak szli, słowa nie mówiąc, przez całą wieś, aż na życie pola.

Za nimi pociągnęły kobiety, obserwując znachorkę.

Michałowa szła, zęby jej szczękały. Widziała wyraźnie, że mijając ich chatę, ostatnią, Zozula jakby się potknęła, sekundę stanęła, coś cisnęła tam nieznacznie i poszła dalej.

Noc była srebrna od miesiąca, cicha, śliczna. Przyszli do Semenowych zagonów. Zozula wprost szła ku skrętowi. Znalazła go, poczęła nagle mówić głośno wyraźnie, zawodząc czasami, jakby śpiew to był:

— Uczyniły cię opaczne ręce, niechże je pokreśli! Uczyniły cię opaczne oczy, niechże prosto nie patrzą! Uczyniły cię opaczne myśli,

niechże opacznie ustaną! Święte zboże cierpi,
niechże grzesznik cierpi! Święte ziarno nie
spełni się, niechże wiek złego się nie spełni!
Amin, amin, amin!

Przystąpiła bliżej, dobyła z fartucha nóż
wazki, ucięła ze skrętu jeden kłos, rzuciła na
węgle:

— Tyle złego na Semena budynki!

Ucięła drugi, zdeptała w ziemię:

— Tyle złego na Semena rolę!

Ucięła trzeci, rzuciła w wodę w rowie:

— Tyle złego na Semena żywioł (bydło)
i zdrowie rodziny! Amin, amin!

Podniosła rękę z nożem nad głową:

Teraz niema w tobie Semenowej zaguby,
teraz w tobie tylko zaguba uczyńcy! Teraz nad
nim sąd, teraz nad nim odpłata! Amin, amin!
Nie moja wola: wielka wola! nie moja siła:
wielka siła! Kazano ciebie wziąć: pójść!

Nóż błysnął w powietrzu: ucięła skręt przy
samym korzeniu; zgarnęła go jak łup krugul-
czemi rękoma; omotała, jak więźnia, nicią ciem-
ną, wydobyła z fartucha, i, opędzając wokoło
siebie coś niewidzialnego, schowała wiązkę
w szmatę.

Potem na to miejsce, ze zboża ogołocone, wysypała żar z garnka, potłukła garnek, splunęła kilka razy, szepcząc zaklęcia, i zawróciła ku wsi.

Milecząc wracali za nią wszyscy.

Byli już daleko, gdy ze zboża wypełził człowiek. Był to Michał, który wszystko słyszał i pewny był swej zguby.

Miedzami, rowami, czając się, wrócił do chaty.

Światła nie zapalił, spać się nie kładł, siadł na ławie i rozmyślał.

Co teraz będzie? co na niego obmyśla? Może już dnia nie doczeka... Skrępowany był przecie krwawą nicią, owinięty cmentarną szmatą, w mocy Zozuli.

Poczęły go dreszcze łamać, mrówki biegać po członkach, czuł, że go jakaś straszna moc obejmuje, a w głowie mu huczało od zgrozy i trwogi.

— Trzeba będzie bez pory umierać! — wyszeptał.

Tymczasem Zozula wróciła do Semenowej chaty, zasiadła, na stole przed sobą położyła, skręt, jak żywego winowajcę, i spytała:

— Cóż tedy chcecie, z nim zrobić, gospodarzu? Chcecie, by w wodzie się utopił, pod ziemię się zawalił, ogniem zgorzał, w powietrzu zawisnął? Co chcecie?

Semen popatrzał na garść kłosów, podumał, splunął.

— Niechby on tak sechł, jak my schli z troski za jego sprawą! — odparł wreszcie.

— Wasza wola! — rzekła znachorka.

Wzięła skręt ze szmaty i szepcząc uwiesiła go na nici u belki pułapu, w dymie i gorącu.

— Będzie sechł i sechł. Zechcecie mu oddech dać, wynieście na dwór pod strzechę; zechcecie, by skończył, spalicie w ogniu; zechcecie mu darować, połóżcie na progu kaplicy. Wasza wola nad nim!

— Jak przyjdzie, przeprosi, daruję! — mruknął Semen. — Niech ma wstyd przed dobrymi ludźmi. A nie ukorzy się, niech schnie szelma!

Chata była kurna, bez komina. W tumanach gryzącego dymu wiązka symboliczna kołysała się zwolna, i wszyscy wlepili w nią oczy.

Zozula szeptała ostateczne zaklęcia.

Kobiety rozproszyły się po wsi, roznosząc straszną zapowiedź.

Michałowa opowiedziała wszystko mężowi. Słuchał milczący, niewidzialny w ciemności; dopiero gdy mu rzekła, by szedł Semeną przeprosić, porwał się z ławy i rzucił się do niej z pięściami.

— Ty milcz, jeśli żyć chcesz!... rozumiesz? Zdechnę, a kłaniać się nie pójde! Ty milcz!

Kobieta uciekła z chaty przerażona. Nazajutrz co rychlej wyprzedawała gęsi, co miała płótna i szmat wyniosła do sąsiadów, nie szła nawet pleć w ogrodzie. Czekala niezawodnie zniszczenia i zguby.

Michał był ponury. Zapadły mu przez jedną noc oczy, zacięły się usta. Nie próbował się zaklęciu opierać, tylko z zawziętością bez siły powiedział sobie:

— Mam wyschnąć, ma mnie ten spalić, kiedy mu ochota, no, to przynajmniej harować nie będę.

I zaczęło się powolne działanie zmory. Co rano czuł na sobie ciekawy, pytający wzrok żony, czy już schnąć zaczyna, a po tygodniu

już cała wieś miała go w podejrzeniu; poczęto szeptać, oglądać się na niego, ścigać go ciekawemi oczyma, aż we własnej chacie szpiegować każdy jego ruch i czyn, i słowo. Niewiadomo skąd urosło podejrzenie, ale na drugi tydzień już go i sam Semen urągliwie zagabnął:

— Krawiec, może ty ciekaw, jak mój skręt wygląda u pułapu! Sucho mu, sucho!

Michał spojrział z podełba, chciał łajać, ale go nagłe porwała dzika chęć zobaczenia swego losu.

Wszedł. W dymie ogniska, okopcony, zmałały, skruczony, kołysał się skręt. Ciepło go tak wciąż poruszało, a ze szmaty wytykało się kłosów kilka, jakby ramiona bólem pokrzywione.

— Gorąco mu, gorąco: uschnie na samą porę!

— Na jaką porę? — zagadnął Michał machinalnie, oczu nie zwracając.

— Do Narodzenia—odparł Semen ze złym uśmiechem. Będę go suszył lato i jesień, a spalę na samo Narodzenie, by nie skosztował pieroga i nie pochowany ludziom obrzydł

przez święta! Ot, jak jemu będzie, chyba się mnie pokłoni!

Michał spojrział na niego strasznie.

— A taki łiesz!—burknął. — Suszyć moc masz, ale śmierci uczynić—nie masz! Będzie w tem jego wola.

— Ot zobaczym!

— Zobaczym.

I rozeszli się. Nazajutrz Michał poczuł się słaby, gorąco mu było nadzwyczaj, dojadła ni wody nie miał chęci. Pomimo to ukrywał niemoc przed żoną, poszedł nawet na zarobek.

Szył siermięgę u sąsiada, i czuł, że jest przedmiotem obserwacyi, szeptów, niemiłosiernej ciekawości.

— Coś ty „musi“ chory! — zagabnęła go gospodyni.

— Czego? Jednakowy!—burknął.

— Nijakiej „kraski“ nie masz na twarzy! Odymiony wyglądasz i takiś wysechł!

— Nigdy czerwony ni tłusty ja nie był.

— Nie taki ty, jak był, nie taki!—rzekła baba przeciągle.

Tydzień zmagał się Michał ze zmorą, borykał się z chorobą, krył mękę. Wreszcie się położył.

Nic mu właściwie nie dolegało, nic nie brakło, tylko niemoc czuł nieznosną. Nogi ciążyły ołowiem, ręce opadały, oczy wciągało wgłąb czaszki, suchość okropną miał w ustach i gardle. Położył się w kącie na ławie, chodziły mu bezkarnie po twarzy roje much, opadały nań sadze z pułapu, on oczu nie otwierał, nie ruszał, tylko wciąż widział jedno: garść zielonego zboża, kołysaną gorącym dymu, zczerniałe kłosa, wydzierające się ze szmaty.

Żona, gdy go ujrzała tak leżącym, poczęła wyrzekać, łajać go, potem lamentować. Na wszystko był nieczułym, oczu nie otworzył.

Teraz już nie pogłoski, nie szepty szły po wsi. Teraz była pewność: mówiono głośno, schodzono się do chaty, oglądano go beczelnie.

Żona odstąpiła go, zaparła się wszelkiego współnictwa i porozumienia, zdała go własnemu losowi. Chodziła na zarobki, i baby poczęły już ją swatać.

— Robocza kobieta, zdrowa, ze lnem się osobliwie dobrze obchodzi. Płócien ma moc wielką. Nie wypracowana, bo krawiec na nią zarabiał. Można ją brać, jak malinę!

Słuchali tego chłopcy wdowcy i potakiwali.

— Czemu nie! Dobra baba! Żeby ten długo nie sechł!

— A cóż! Wiadomo! Do kolend go Semen trzyma. Po Jordanie można będzie brać!

Była to tedy rzecz ukartowana, niezawodna, i czarny Stepan, który żonę właśnie pochował, Michałową sam zaczepił.

— Jak ten zeschnie, to do ciebie przyjdę! Lnu nieboszczka ośm zagonów zasiała, a dzieciśka posłuszne. Będą ciebie matką zwać, jak każę.

— Nie wiem! Pomyślę. Jeszcze czas!— odparła Michałowa, niedaleka od zgody.

A Michał leżał w kącie zjadany przez robactwo i zmoreę. Wychudł i żczerniał, prawie nic nie jadł; zwlekał się czasem przed chatę i bezmyślnemi oczyma patrzył w jeden punkt.

I widział wciąż dym, dym, dym i kołyszący się skręt zboża, okręcony w cmentarną szmatę, owinięty nicią krwawą.

Nikt nie przyszedł go pocieszyć, poratować, z nikim się myślą nie podzielił.

Ludzie pożęli zboża, radowali się dostatkiem, potem zebrano i lny, i poczęły kobiety mędląć, a na dworze uczyniło się dżdżysto, czarno, smutno.

Michałowa więcej teraz przebywała w domu i dokuczała mężowi.

Domęczony jej skargami i kłótwami, raz się obruszył:

— Czego ty chcesz, wiedźmo! Drew ci mam przywieźć, dach polatać! To idź, proś tego, niech mi oddech da!

Michałowa poszła do Semenów; wróciła po długim czasie.

— Nu, wstawajże, ty kłodo! Masz oddech na tydzień! Ledwieś ubłagała! Zdjął Semen twoją chorobę, wywiesił ładnie pod strzechę! Nu, wstawaj.

I Michał wstał. Był już opętany zupełnie przez zmore, nie miał własnej woli i mocy. Wstał i zajął się robotą. Robił jak automat, oczy miał szklane, ruchy nieswoje, głos dziki. Ale przecie ruszał się, jadł, pił. Odetchnął.

Ale było to odetchnięcie skazańca, który wie termin wypełnienia wyroku. Codzień słabsze były ruchy i czyny, codzień czarniejsze myśli, i gdy tydzień ubiegł, Michał znowu się położył.

Cała wieś uważała, że inaczej być nie może, że tak być powinno. Ani jedna dusza nie użaliła się mąk tego nieszczęśliwca. Zresztą on sam nie dałby się uleczyć.

I znowu rozpoczęła się gadka po wieczornicach.

— Krawiec schnie i schnie! A zawzięty! Nie pójdzie się pokłonić Semenowi!

— Semen gadał, że jużby nie teraz nie pomogło, bo skręt już się raz zatlił od gorąca. Takci skończy.

Ale koniec był ciężki. Okropne listopadowe słoty, wichry, ciemnoty ogarnęły ziemię, rozdzierająco, smutno jęczały ostatnie pastusze surmy, wiatr wył jak dusza przeklęta, w chacie ciągly mrok panował.

— Marto! — odezwał się raz Michał tygodniowem milczeniu do żony przedającej u komina.

— A czego?—burknęła niechętnie.

— Idź ty! Nadmiar mi ciężko! Idź, poproś, niech mi oddech da! Już nie wytrzymam! Oj, Chryste!

Chrystusa wzywał, ale kto On był, nie wiedział. Mówił utarte słowo, treści obcy!

Michałowa poczęła burczeć:

— Na co ci oddech? Leżałbyś! Na co ty komu!

Chłop umilkł, ale po chwili znowu przemówił:

— Warsztat tkackibym ci poładził. DREW urąbał!

— Żebyś choć w żarnach pomełł osypkę!

— Żeby oddech, tobym może „zdużał!“

To zachęciło babę. Ogarnęła się i poszła.

Ale bawiła bardzo krótko i wróciła wściekła.

— Bodajesz zdechł przedzej. Wstydu się tylko najadłam, ludzkiego szczekania, przez ciebie! Semen mnie złajał i wypędził! Da ci oddech, powiada, da, ale na kolędy, w piecu, w ogniu! U nich tam bitwa w chacie z synową, więc wszyscy jak szerszenie! Leż, trupie!

Michał już się nie odezwał, ale myślał.

I będzież Semeną moc do końca? będzież prawda Zozuli? Nie pomści się on? nie odpłaci? nie uczyni ich łgarzami? Śmierć idzie, nie kwapi się, posłuszna im, tym dwojgu. Nie możnaż to wyjść do niej, na pół drogi? Nie możnaż to ohydzić Semenowi chaty, oszukać Zozuli? Kołysze się skręt na krwawym sznurze... Pośmiewisko z niego ma wieś i Semenowa chata. Nu, on im uczyni sztukę, zacuchną im kolędy, nie przejdzie pierog przez gardło!

Życie w ich rękę, a od śmierci im wara!

Leżał Michał, nie stękał, nie skarżył się, nawet mu się twarz zmieniła. Czasem latały

po niej ognie i drgnienia, jakby uciechy, czasem okiem po izbie wodził, jakby czegoś szukał, jakby czegoś pragnął. Raz nawet do żony zagadał:

— Wódkibym się napił. Przynieś.

— Ale, pewnie! Jeszcze cię traktować będę! Dosyć będzie na ciebie wódki, jak umrzesz!

— W sieni, w strzesze, nade drzwiami jest szmatka z pieniędzmi. Weź i wódki kup!

Poskoczyła żywo, znalazła w szmatce rubla.

Przyniosła mu tedy butelkę wódki i poczęła się łaścić.

— Mój sokoliku! Może ty gdzie jeszcze schował? Powiedzże mnie biednej, co po tobie sierotą zostanę! Powiedzże, póki czas! Może ci mowę odjąć, możesz w nocy zamrzeć, że nie posłyszę...

— Jak pora przyjdzie, to powiem!—mruknął, chowając butelkę w słomę, na której leżał.

Ożywiona tą nadzieją, Michałowa stała się dla niego uważniejszą, mniej szorstką. Codziennie zagabywała o pieniądze, ale chłop skamieniał znowu w milczeniu.

Na świecie uczyniło się białe od śniegu. Advent dobiegał końca. Wbrew przepowied-

niom, Michał był rzeświejszy, próbował chodzić, jeść, patrzył przytomniej. Dziwowała się cała wieś. Zaglądano do Semenów, badając wygląd skreću. I zdawało się im, że naprawdę słoma była zdrowsza.

— To tak przed końcem!—urągał Semen, zaniepokojony w duchu jednakże.

Czasami chęć go brała, nie czekając świąt, spalić wiązkę nieszczęsną, ale się opierał.

— Powiedziałem: na kolędę! Niech tak będzie.

Aż i kolędy przyszły.

Na Wigilię cała wieś wybiegła na mszę nocną, puste były ulice, puste chaty. W oddali dzwony pięknie grały.

Ogarnęła się też Michałowa i poszła. Michał na posłaniu siedział, mocny na podziw, patrzył żywo. Toć nie umrze tak nagle!

Była tedy zupełnie spokojna i poszła,

Gdy jej kroki ucichły, Michał za siebie sięgnął, butelkę z wódką dobył i wypił blisko połowę.

Zachował ją na tę okazję.

Potem włożył siermięgę, opasał się, ale ani butów nie kładł, ani czapki nie szukał.

Bosy, z odkrytą głową, ślaniając się trochę i dysząc, wyszedł na śnieg i mróz, wsunął się poza stodoły, kędy nikt nie chadzał, kędy nikogo nie spotka.

Dzwony grały cudnie, ludzisków pełna po brzegi była kaplica, nabożeństwo uroczyste i długie.

Ranek szarzał, gdy tłum rozchodzić się począł, gromadami zmierzając ku chatom na pierogi i kiełbasy, na śpiewy i zabawy, i świąteczny odpoczynek.

Szedł i Semen z rodziną. Semenicha troškała się o chatę, w której ino najemnica głucha została na straży, chłop ją pocieszał:

— Zaparła się w komorze, gdzie pierogi i mięso złożone, a w chacie po ciemku nikt plądrować nie pójdzie. I skrętu się będą balil! Oho, to dobry stróż!

.
Drzwi od sieni zastali zamknięte, a chatnie trochę przechylone, jakby je z wewnątrz ktoś trzymał.

Semenicha szarpnęła je ku sobie i wrzasnęła okropnie.

Przed nią stał krawiec z rękoma obwisłymi i pokazywał jej język, przekrzywiwszy głowę.

Semen odepchnął żonę, rzucił się ku niemu i pchnął. Ale krawiec ino się zakołysał, jak skręt na nici, i uderzył chłopca. Wtedy w mroku chaty ujrzeli, że wisiał na czerwonym pasie u belki, i że już zsiniał i zastygł. A obok niego, u tej samej belki, wisiała więz przeklęta, już zupełnie zczerniała.

Zapanował w chacie okropny popłoch, krzyk, gwar, najście ludzi. Odcięto wisielca, postawiono straż, chatni wynieśli się do sąsiadów.

W tem zamieszaniu i zgiełku znikł gdzieś skręt zaczarowany. Pomimo trwogi, pamiętał o nim przezorny Semen i sprzątnął wczas, aby utrzymać powagę Zozuli, moc swoją, i nie mieć śladu dla policyi, w razie niepotrzebnych gawęd i plotek.

I takci Michał ino się pomścił i chatę zohydził, ale nie przekonał nikogo, że uprzedził wyrok nad jego skrętem!

WYDALENI

Był sobie raz mąż wielki i potężny, który postanowił ludy uszczęśliwić. Długie lata badał nędze i niedole, długie lata uczył i kształcił, długie lata nad ideą swą pracował.

I wreszcie nabył kraje piękne i żyzne, ale puste i, zagarnawszy ze sobą ludy, tam je osiedlił, zabraniając — im cokolwiek zabierać ze starego świata.

I przyszło wielkie mnóstwo, jako z nocy w dzienną jasność — i zapanowało w nowym kraju nowe życie. A na majestacie, na wysokim krużganku świętym, zasiadł mąż tryumfator i patrzył z dumą na swe państwo i na wyzwolone ludy.

I widział wokoło dobrobyt i sytość, postęp, wykształcenie; i owa ziemia nowa — nowym rajem była.

I mówił w przeświadczeniu swej mocy:

— Błądzili wszyscy—jam nie błądził. Kłamali wszyscy—jam jest prawdą.

Aż dnia pewnego ujrzał wrzenie wśród swego ludu, ruch, krzyki, tłumy miotające się wściekle—i oto z tego mrowia wzburzonego, przerażonego, zdjętego wielkim gniewem, utworzyła się gromada, popychająca przed sobą ludzi troje, które wiedli ku niemu — a dłonie mieli pełne kamieni i urąganie na ustach.

Napełnili krużganek i, wepchnąwszy złoczyńców przed majestat jego, poczęli ich oskarżać.

— Oto panie, pojмалиśmy ich, wiarołomnych zdrajców. Każde z nich przyniosło coś z tego przekłętego świata, z kąd nas wyzwoliłeś. Pozwól byśmy je ukamienowali.

Mocarz spojrział ku winowajcom. Był starzec, niewiasta, równa mu wiekiem, i pacholę,

Starzec wytartą książczykę trzymał na piersi, niewiasta kołowrotek z garścią szarego lnu osłaniała przed zawziętością tłumu, pacholę wystraszone, poturbowane, bo mu krew ciekła po policzku, przyciskało pod pachą skrzypce, na których — mu już struny pozrywano.

— Coście za jedni? Pociście się tu wkradli spytał władca starego.

Ale nim ten usta otworzył, uprzedziła go kobieta, najśmielsza, najrozmowniejsza.

Nie wiadomo w co ufała, bo nie była zalekła ni wrzaskiem tłumu, ni kamieniami. Patrzała dość zuchwale na prześladowców, a na władcę nawet dość lekceważąco.

— Ja jestem sobie baba,—mam sto lat—może więcej, nie pamiętam, ale starszej u was niema, na to przysięgnę — i was wszystkich jeszcze przeżyję — oho — i dzieci wasze też. Mnie zowią Bajką.

Gadka, Bajda — różnie — jak pod humor ludziskom. Umieć też praść i porządek na wieczornicach pilnować,—wołają mnie do chorych — dzieciśka mi zostawiają bawić — ot, wiadomo jak co komu potrzeba. Tenci chłopak mój wnuczek jest — popsuli mu skrzypce — dobrze mu tak — on ci mnie tu do was namówił, do takich ludojadów, zbójników a tchórzów, co się starej baby boją! Aha, aha, nie wydziwiajcie no! — tu się wzięła pod boki i śmiała się szyderczo.

Boicie się, boicie. Ja wiem czego, mądrale! Ja się waszych kamieni nie lękam i w oczy gadam. Żeście mnie starą zelżyli, spostpono-

wali — zbałamucę wam dzieci — porzucą was dla baby! Ot co!

I zuchwale urągała tłuszczy.

— Ukamienować ją! Ukamienować! zawrzało.

Ale mocarzowi wydała się tak nędzną, tak starą, że nawet gniewu nie odczuł.

— Ukamienować! rzekł — Kogo? Tę starą! zali nie szkoda waszych rąk i tych kamieni. To drzewo, co trzyma, połamać i spalić, bo to wstyd wobec naszych maszyn, — a ją samą precz wygnać — het na tę górę skalistą, z której ni rolnik, ni fabrykant niema żadnego użytku. Tam zmarnieje i zginie!

Rzucili się ku babie. Ona się wciąż szyderczo uśmiechała — połamali jej kołowrotek i w mig go spalili, ale, gdy ją wypchnąć chcieli, uparła się i nie dała ruszyć z miejsca wołając:

— Chłopca mi oddajcie. Bez niego nie pójde! moja krew jest, nie dam go wam na poniewierkę! Chłopca puszczajcie!

Tedy mocarz ku chłopcu oczy zwrócił, a ten łuną się oblał i stał uśmiechając się.

— A ty kto? Po coś to drewno przyniósł? Szukasz posady w orkiestrze?

— Ja panie grajek jestem i śpiewać też umiem.

— Cóż umiesz grać?

— Umiem wszystko panie. Wiosnę gram i lato, i jako dziewczyna po lubym płacze, i jako drzewa szumią, i jako w obcej stronie kozak ginie samotny.

— A gdzieś ty widział, by to prawda była.

— Ja nie wiem panie, czy to prawda, ale ludzie mi byli radzi w tamtym kraju!

— A umiesz śpiewać opery? Tenor jesteś czy baryton?

— Umiem śpiewać kolendy, panie. A zowią mnie skowronek.

— Oszuście! więc śmiesz mi wnosić brednie i fałsze. Jakżeś śmiał granicę moją przestąpić!

— Albo ja wiem panie, co wasza granica. Szli ludzie mówiąc, że idą do światła, ja z nimi, że idą do swobody,—ja z nimi, do równości—ja z nimi. Myślałem, że będą przecie smutni, którzy mnie zawołają, i weseli, co mnie ugoszczą — i bohaterowie, którym pieśni trzeba ułożyć, i kochania, którym trzeba zawtórować, i tęsknota za starym światem, której trzeba ulżyć! I takim przyszedł z babką!

Mocarz się oburzył, a tłum wył, szydził, przedrzeźniał go. — Zanim rozkaz wydano, już się sypnęły kamienie i urągowiska.

— Naści za kolendy! Naści za żale tutaj! Naści za tęsknotę po złem! Naści za twoje bohaterzy!

Chłopak się rękami osłaniał, ale lęku nie okazywał. Owszem żywa krew w nim zawrzała i zawołał:

— Tedy bijcie i zabijcie. A ja was przeklinam, żebyście sami po mnie kiedy płakali— jak zaniemieję!

I byliby go zakamienowali,—ale wtem tłum się rozdzielił, i poczęły niewiasty hamować mężów, wydzierać im kamienie, wołać do władcy:

— Puśćcie go z życiem, panie. Zali takie marne pacholę wrogiem i niebezpieczeństwem nam może być! Niech idzie precz od nas— ale krwi jego młodej żal—niech nie płynie!

— Idź precz i niech cię nasze oczy nie widzą, a jeżeli się ośmielisz do nas zbliżyć— śmierć cię czeka.

Pacholę popatrzało na skrzypki swe rozbite, zepsute, westchnęło po nich i skinęło na

babkę by szła. Ale ona jeszcze czekała, poglądając na starca, ku któremu teraz zwrócił się monarcha.

— Ty ktoś jest! Na książce tej czy jest moja pieczęć?

— Jam jest sługa Boży.

— Niema Boga.

— Ta książka jest Jego słowo.

— Spalić ją, obalamująca nas wieki!

Wydarto książkę starcowi, rzucono ją w ogień.

— Więc przyszedłeś tu znowu ludzi oszukiwać i mamić.

— Powiedziano mi, że czcisz prawdę, szedłem śmiało do Ciebie. Poddani twoi śmiertelni są. Będą mnie potrzebować, jedni wcześniej, drudzy później! Przyszedłem im służyć!

— Pewny jesteś bardzo!

— Bom był twoim poddanym kiedyś— i wiem jak gorzko bywa im niekiedy!

— Klecha jesteś! Uragasz mi! Wierzysz, że ktoś z pod mojej władzy może do Ciebie się zwrócić! Żebym cię kazał spalić z twoją książką razem — powiedzieliby tam — w tym przeklętym starym świecie, że się jeszcze cie-

bie boję! Ale ja drwię z ciebie i tyle dbam co o proch pod stopami — i tyle wierzę, co w baśnie nianiek. Ale jeżeliś taki bezinteresowny — to idźże w te skały — i tam się módl i pość, jak ci głód dopiecze i samotność się sprzykrzy — przyjdź i hołd mi złoż. — Dam ci wtedy jeść! Precz!

— Precz, precz, precz! — zawyli teraz wszyscy i pognali przed sobą troje wygnańców, ciskając za nimi drwiny i obelgi, kamienie i śmiecie!

Wygнали je za grody i domy, za pola i łąki, aż w góry, kędy był tylko gład i las — potok i śnieg, i kędy tylko dzikie kozy się pasły i orłowie się gnieździli!

I po tym sędzie zapanował znowu spokój w państwie wielkiego mocarza, i o trojgu wygnańców i pamięć zaginęła. Do majestatu przychodzili często ludzie ze sprawami i sporami. Przychodzili się skarżyć, a on ich godził, przychodzili się radzić, a on im mózg rozjaśniał, przychodzili o pomoc, — a on ich wzmacniał.

A na wszelkie pytanie miał odpowiedź.

I było dobrze w tym kraju.

A panowało tam prawo, że miast podatków składali poddani władcy co rok daninę

mądrości. Kto wynalazek nowy, kto maszynę, kto nauki, kto postęp — a kogo nie stać było na tyle, sami najmniejsi — składali egzamin czytania i pisania, i rachunku. Chodzili tacy to poborcy, co ową daninę zbierali — spisywali — i odnosili władcy. Otóż zdarzyło się, że owi chodząc od domu do domu po wszystkich drogach i ścieżynach — znaleźli onych wygnańców. Żyli ~~sobie~~ we troje i już się nawet zagospodarowali. Babina miała znowu kołowrotek, który jej chłopiec kozikiem niezgrabnie wystrugał, i na malutkich zagonkach chowała len modro kwitnący. Chłopak z drewna skrzypki sobie nowe sprawił i, ku niebu patrzący, coś na nich wygrywał. A starzec jaskineńkę sobie wynalazł u źródła, i siadywał na głazie, karmiąc gołębie, i spoglądając ku dolinie, czy go zaś kto nie woła.

Zdumieli poborcy, jako taka nędza jest żywotna, i pytali baby:

— Wiesz ty ile czyni siedem razydziewięć?

A ona na to:

— A wiesz ty jaki królewicz przemienił się w makowe ziarno.

— Milcz, bo cię wsadzimy w ciemnicę!

Owa — z ciemnicy wyprowadzi pajak!

Odwrócili się od niej z pogardą i napadli na chłopca.

— A ty, muzykusie — wiesz co to jest kontrapunkt?

— Nie słyszałem takiej pieśni!

— Pójdiesz i ty do ciemnicy. A ty stary umiesz pisać?

— Umiem.

— Naści kartę — napisz co wiesz o mądrości.

Wziął starzec pióro i napisał bez namysłu:

„Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie.“

Tedy cisnęli mu kartę w oczy, jako bluźnierstwo i obrazę ich władcy, i pognali ich do ciemnicy.

Ale, jako z oburzenia byli zapamiętali, nie dopatrzyli, że baba pod połą schowała kołowrotek i sporą kądziel lnu, chłopak uniósł w zanadrzu skrzypki, a — starzec pęk białych lilii, które u źródelka rosły.

Ciemnica była w ogrodzie monarchy, na placu kędy wszyscy chodzili, by każdy mógł z przestępcy szydzić, albo kto chciał, by go oświecał i uczył.

Wsadzono ich troje na sam spód wieży, jako najgorszych głupców, i okienko od ich lochu ledwie nad ziemią się wytykało — i jako bywa z nędzarzami nawet o nich zapomniano.

Pod tym okienkiem snuło się dużo ludzi. Wracali tamtędy ci co do władcy chodzili na posłuchanie i szli tamtędy młodzi do pracy, i dzieci ze szkoły.

Zdarzyło się raz, że dzieciaki posłyszały łoskot kołowrotka; jako myszki ciekawe nuż zaglądać przez kratę. A baba jak ich ujrzała, że to przepadała za dziećmi, dała im garść orzechów, i zaczęła im coś prawić po swojemu. A dzieci przykucnęły i słuchają. Ledwie ich stamtąd pedagog przegnał. Ale stało się, że już wiedziały, kto to taki siedzi za kratą, a że nie dosłuchały baby do końca, więc ich paliło wykraść się i dosłuchać.

I znowu się zdarzyło, że szedł tamtędy chłopak smutny, bo jego dziewczynę władca komu innemu przeznaczył, i nie było dla nich jednej drogi w owym kraju. Chłopak prawa słuchał, ale pod żebrami go bolało i paliło, jako w ciężkiej niemocy.

Szedł i dumał, i oto stanął. Z ciemnicy jego ból śpiewał, jego myśli słowa brały, błą-

gające, a gorące! Słuchał i słuchał, i uczył się owego gadania, i jakby pozdrowiał — odszedł pełen mocy.

I znowu się zdarzyło, że szło u okienka dwóch starców, ku ziemi już patrzących.

Zastanowiło ich coś.

— Jak tu coś pachnie! rzekł jeden.

A drugi szepnął nieśmiało.

— Lilie białe — z tamtych stron.

I pomyśleli jedno, ale się jeden drugiego wstydził, — i minęli okienko — umilkłszy.

Ale gdy nocka zapadła, pokryjomu, jako złodziej, przyszedł jeden do okienka, i rzekł twarz kryjąc.

— Starcze. Daj mi swój kwiat. Straszno przedemną!

Starzec podał mu lilię i odparł.

— Niech ci straszno nie będzie. Do jasności wrócisz. Idź w pokoju!

I odszedł, ów kwiat schowawszy w zana-drze!

Aż przecie przypomnieli sobie poborcy o wygnańcach. Przyšli je egzaminować, ale znaleźli jeszcze głupsze. Baba zapytana ile czyni dwa razy dziesięć — spytała nawzajem,

czy byli na szklanej górze — chłopak na pytanie, co jest wiolin i bas, wytrzeszczył przerażone oczy, a starzec coś mrucał, i wcale nie chciał odpowiedzieć, ile rodzeństwa miał Chrystus.

Zdali z tego sprawę poborcy monarsze, a ten je kazał wygnać z grodu — het — znowu w góry.

Ale gdy wyszli i skierowali się ku bramom nie gnała ich tłuszcza. — Ten i ów spojrzał pogardliwie, ale po kamień nie sięgnął, wielu nawet oczu nie podniosło, a reszta spoglądała ciekawie, kędy też się udadzą. Spotkali gromadkę dzieci, i te za nimi kęs pobiegły, ale nie przedrzeźniały, ani się śmiały. Tylko dały babci kukiełki i naprzykrzały się o przegwarke jakąś, a potem się rozpierzchły na widok pedagoga.

Jakiś człek siwowłosy skinał głowę starcowi i pić im dał na swoim progu, a gdy wyszli za bramę, spotkali dwoje ludzi młodych — jak szli ku gajom kwitnącym, ramionami spleceni, głowami o siebie wsparci, z rozkoszą w oczach.

Młodzieniec spostrzegłszy grajka, za szyję go objął i ucałował, a dziewczyna rzuciła mu

pod stopy wiaź bzów kwitnących wonnych
i zawołała:

— Błogosławiony bądź — za chwilę tę —
grajku Skowronku.

I tak wrócili na szczyty swego wygnania.

— A do monarchy szli wciąż poddani
po radę, a on na wszystko miał odpowiedź.

Ale raz przyszła niewiasta, bólem złamana
i chwiejąca i przypadła do majestatu z jękiem.

— Panie, radę mi daj, uspokojenie mi
daj. Synam jednego miała, umiłowanego nade-
wszystko, i oto umarł. — Jak mi teraz żyć, jak
mi teraz żyć! Niema go, i nigdy oczy moje go
nie zobaczą. Ratuj mnie przed szaleństwem
bólu panie!

A mocarz milczał — bo nie miał odpowiedzi.

Niewiasta głowę krwawiła o stopnie tronu
jego, lecz ją strażę stamtąd wzięły i wyniosły.

I leżała u bramy władcy, oniemiała, umie-
rająca z rozpacz, niewiedząca drogi, kędy iść,
nie mająca siły do jęku już nawet.

Aż ją podniosła kobieta przechodząca,
i poczęła szeptać:

— Pójdź za mną. Jest taki, co ci syna
wróci. Zaprowadzę cię — tylko sz, by nas stra-
że nie słyszały, bo nie puszcza!

I tej kobiety nie ujrzał już więcej monarcha przed obliczem swoim — ani jej jęku nie usłyszał.

A w jakiś czas potem przyszedł do niego starzec, jakby gorączką strawiony, o wzroku pełnym grozy — i rzekł przerażonym szeptem:

— Panie! w młodości mojej zgorszyłem człowieka. Do występku go dowiodłem, potem do rozpacz — potem do śmierci. I oto truciznę mam w sobie, ognie, męki. Widzę go i słyszę bezustannie. Ratuj mnie!

— Chory jesteś. Kto umarł, ten nie wstanie. Lecz się!

— Niema choroby we mnie. Wierzę w co mówisz. Nie boję się jego zemsty, ale zdejm ze mnie ten lęk bezustanny.

— Nie mogę pomóc obłąkanym.

— Ja nie obłąkany, panie, jam nieszczęśliwy w duszy!

Ale monarcha umilkł i z pogardą od niego się odwrócił. A człowiek odszedł zgnębiony i bładził po ulicach, nie mogąc w domu wytrzymać.

I zaszedł przed dom znajomego, i zastał go jako z wiadrem wody szedł do ogrodu.

Pozdrowili się i ten zgnębiony rzecze:

— Bracie, tyś przecie zabił człowieka, a pogodne masz lice. Zali cię ten zabity nie dręczy?

— Już nie!

— Gdzieżeś poratowanie znalazł?

— Gdzie? Pamiętasz owego wieczora, coś my pod ciemnicy oknem byli? szeptał tamten.

I zamilkli, a ten przymknął nieco furtkę ogrodu i pokazał mu grządeczkę, na której białe lilie rosły, a potem ręką ku górom wskazał i odetchnął jako człowiek, co odpoczywał!—

A owego zgnębianego już więcej nie ujrzał władca przed swym majestatem.

— W państwie coraz lepiej się działo, tak myślał monarcha, bo coraz mniej nachodzili go poddani o ratunek i radę. Wykształcił ich, przejęli się jego nauką — był bardzo dumny — i spoglądając z góry na swój kraj kwitnący czuł się bóstwu równy.

I rzekł raz do najwyższego sługi swego, bardzo uczonego doktora.

— Jeśli ty równie mało masz chorych — jak ja skarżących, zaiste uczyniliśmy szczęście ludzkości.

Ale uczony doktor głową potrząsnął i odparł posepnie.

— Tak — i mnie brakuje chorych, ale choroby nie ustały, tobie braknie skarżących — ale nie skarg.

— Nie rozumiem ciebie?

— Moi chorzy idą do źródeł cudownych — zbierają jakieś zioła, każą się oszustom magnetyzować i okadzać — a twoi skarżący i cierpiący — idą tam w góry! —

— Po co?

— Do tych trojga — coś tam wygnał.

— Jakto? Ta nędza jeszcze nie zginęła?

— Spójrz tam — na tę ścieżkę. Zali zamrą głodem, tacy którzy mają tylu wyznawców!

Mocarz oczy dłonią okrył od słońca, które z za gór tych biło, i ujrzał na ścieżce wielką moc ludzi, drapiących się mozolnie ku szczytom. I umilkł, jakby tknięty razem bolącym i oczy zupełnie zasłonił.

A potem się porwał, wielkim gniewem zdjęty.

— Na śmierć je dać — morderce ludu mojego!

Zawołał strażę i posłał je w góry z wyrokiem.

Czekał godziny, czekał i dnie— strażę nie przynosiły mu głów straconych, jak był rozkazał.

Rajcy jego siedzieli wokoło posepni, jakby znudzeni i senni, w pałacu jakby pustką wiało.

— Idźcie — zawołajcie lud mój do mnie! rozkazał.

Poszli, nie kwapiąc się od domu do domu, kołacząc we drzwi, wzywając na mowę do pana.

Ludzie słuchali jednym uchem wezwania i odpowiadali lekceważąco:

— Niech zaczeka — stary — mam robotę. Żadnej nie mam sprawy z nim! Może sąsiad pójdzie. Syna wyprawię.

Niech no ojciec wróci — to może on pójdzie!

Ale się żaden nie kwapił.

Zamiast poddanych zebrali się urzędnicy, i ci napełnili stopnie majestatu, ale nie czekali mowy, a poczęli skargi i raporta.

— Dzieci umykały często ze szkoły, poborcy natrafiali na opór i drwiny, straż przejmowała kłamliwe pisma, młodzież wygwizdywała profesorów, kobiety głośno dopominały się domów modlitwy, starcy zamiast pomocy

władzy, ułatwiali swoim rodzinom pielgrzymki w góry. Państwo było zachwiane od fundamentu do szczytów.

Władca zawrzał bezmiernym gniewem, i począł je chłostać biczem i lżyć:

— Zdrajcy! Tchórze! Gdzie bronie wasze, gdzie moc, którą wam dałem. Precz mi ztąd! Do dzieła — i nie pokazujcie się, aż lud cały przyprowadzicie mi na kolanach, do stóp moich. Inaczej biada wam!

Przerażeni urzędnicy się rozpierchli. Władca pozostał sam i poczuł gorycz w sercu, ogień we wnętrznościach i jakiś niepojęty lęk.

Dzień się miał ku schyłkowi, ale nikt do niego nie przybywał służbę pełnić, i nie wracali ni rajce, ni stróże, ni urzędnicy.

Tedy odwrócił oczy za słońcem i widział jak zachodząc złościło szczyty, z za których nazajutrz o świcie miało wystąpić promienne. W około jego majestatu kładły się cienie nocy i chłód go ogarniał.

Tedy go zdjęła zgroza śmiertelna i strach, zali ujrzy poranek, i co mu jutro przyniesie. Wielkim głosem zawołał uczonego doktora, najwierniejszego z rajców.

Po pustym pałacu echem poszło wołanie
i nikt na nie nie odpowiedział.

U doktora w domu dogorywała małżonka
ukochana, i on poszedł w góry do starca wy-
gnańca po lilie białe, co u źródła rosły.

PIĘĆ KORON



Hetman sumował. Oblicze jego surowe pofałdowało się głębiej, podgolone czoło schmurniało.

Nad pismem, świeżo przez gońca wręczonem, pochylony siedział, tak nisko ciężką głowę chyląc, że olbrzymie wąsy dotykały karty.

Oczy wbił w litery, a prawicę do żelaza nawykłą, o stół polowy wsparł, na którym stał puhar nietknięty i leżała buława wodza.

Za makatami namiotu obozu gwar się rozlegał i wieczornych tręb hejnały.

Hetman w dłonie klasnął i nie patrząc na giermka, co wszedł, krótko rozkazał:

— Ichmość panów dowódców na radę!

Upłynęła długa chwila. Za namiotem rozległ się ruch żwawszy, tupot koni, chrzęst zbroic, karabeli pobrzęki.

Weszli. Pięciu ich było. Kapały z nich blaski drogich kamieni, mieniły się zbroje, lite szaty. Każdy u wnijscia głowę odkrył i czapką się skłonił.

— Czołem mości hetmanie!

Trzech mężów dojrzałych było, dwóch młodzińców w kwiecie wieku i urody.

Zajęli swe miejsca, trochę zdziwieni nagłym wezwaniem, czując coś groźnego po twarzy wodza.

Najstarszy, wojewoda i senator, niecierpliwy głos podniósł:

— Mości panie! złe wieści ten papier zawiera?

— Złe! — hetman odparł, głowę podnosząc i gorejącemi złością oczami spozierając po nich. — Najgorsze! — powtórzył głosem rozdrażnionego lwa—pospolite ruszenie się spóźnia.

— Zostawiono nas tedy na pewną zgubę. Nieprzyjaciół o świcie tu będzie.

— Tak, a pospolite ruszenie przyjdzie wieczorem — jeżeli przyjdzie! — dodał ponuro.

— Infamia! horror! — krzyknął wojewoda. Ile nas? — przerwał hetman.

— Sześć tysięcy.

— A tamtych?

— Trzydzieści.

Zapanowało chwilowe milczenie.

— Starczy im nas na godzinę!

— Oho!—młodszy jeden się wyrwał—nie połkną i przez trzy.

— A potem?

— Potem Cecora!—któryś starszy bąknął.

— A kraj aż po serce odsłoniiony i bez obrony ostanie. To nie Cecora!—to hańba.

— Pospolitakom hańba!

— Nam! — zagrmiał hetman, podnosząc się w całej okazałości palcem buławę wskazując. — A to co? Kawowczarski? A wy co? Trzoda? A tam co huczy? Ciury i chamy? Orsza będzie, nie Cecora!

Spojrzał po nich. Surowi byli, ale spokojni starzy. Dwóch młodych powstało. Roziskrzyły się im oczy, wzdęły nozdrza.

— Rozkazujcie! Dostoiśmy pola!—rzekł wojewoda.

— Słuchajcie tedy. Człowieka trzeba, coby nic i nikogo nie miał i nie żałował. Nikogo po sobie nie zostawił, bo na stracenie pójdzie i ostatnia to będzie jego potrzeba! Kto tu jest taki?

— Ja mości hetmanie!—młodszy się odezwał. — Sam jestem, nikogo nie mam, więc też niczego się nie boję. Zguba nie straszna.

A wtem starszy młodzieniec, jak dąb silny, w pancerzu na sobie, jakby tylko co z harców wracał, o krok go wyprzedził.

— Zguba ta nie straszna, ale chlubna. Ja się jej nie boję, ja jej chcę.

— A chcę dlatego, żem nie sam. Zamek mam, nad którego bramą klejnot. Pięć koron zdobyli sobie na nim przodkowie. A w zamku synaczka mam. Tedy mi się należy klejnotami chlube, a synaczkowi przykład dać.

— Ergo! ten mówi jak Rzymianin! — odezwał się wojewoda.

Młodzieniec ku towarzyszowi się zwrócił i zlekka głowę skłaniając, dalej mówił:

— Nie ubliżam fantazyi i odwadze Waszmości, panie bracie. Ale kiedy ginąć trzeba, niech ginie prędzej ten, który wie, że śmierć swoją zostawi dzieciom w spuściźnie. Pozwólcie tedy panie bracie, by synalek mój wcześniej wiedział, co od niego się Rzeczypospolitej należy, jako i ja od rodzica swego wiem.

—[¶]Mości panie, kto dzieci ma, łącno może, o nich pomyślawszy, siebie w ogniu pożałować.

— Mości panie, kto nikogo niema, łącniej jeszcze tył podaje, bo go niczyje wspomnienie do wytrwania nie zagrzewa.

— Wara ostrych słów przy mnie! — hetman głos podniósł. — To rada, nie sejmik! Wybiorę ja wśród was, a kogo wybiorę, ten natychmiast na koń siądzie — tysiąc ludzi wybierze, podniesie i zabiegnie drogę wrogowi przy rzece, ztąd o mil trzy.

— Pospolite ruszenie nadejdzie wieczorem. Wtedy wskok na pomoc runiemy. Dotychczas trzeba wroga zabawiać.

— Tysiąc bawiących na trzydzieści tysięcy niebawiących. Trudno gier dobrać na tyle godzin! — mruknał jeden ze starszych, którego zawsze trzymały się krotchwile.

Młodszemu ochotnikowi ta sama myśl przyszła, bo niespokojnie wtrącił.

— A gdy nas wcześniej zmiotą i położą.

— Tedy chluby nie będzie wam!

— Ja zabawię! — zawołał starszy ochotnik.

Hetman ku pozostałej starszyźnie się zwrócił. —

— My tymczasem tabor zbijem i okopie-my się, ile można, a gońców ku pospolitakom

kopniem. Przybędą — ruszymy ku tym — nie przybędą — wytrzymamy dłużej w taborze. Obejrzał się na obraz święty, zdobiący tylną ścianę namiotu.

— Daj Boże przedwieczny, by się nie spóźnili teraz.

— Co powiadacie na postanowienie moje? — spytał starszyny.

— Że słuszne jest i wykonamy. Któryż z nich pójdzie na ofiarę?

Stary wódz popatrzał na młodzieńców.

Pierwszego, co się wyrwał, sam bojów uczył i przy boku swoim lubił, wszelkie nadzieje w nim mając i wiarę. Drugiemu — owego synaczka do chrztu podawał — krewniakiem mu był.

Zawahał się trochę, nasłuchując, czy wbrew złym wieściom, kotłów pospolitego ruszenia nie słyszać — ale w obozie było cicho, bo noc się już stała.

Wtedy stary wódz żal swój zmógł, rękę podniósł i piersi starszego dotknął.

— Jazłowiecki pójdzie! — uroczyście wymówił.

Młodzieniec, do którego się skłonił, towarzyszów skinieniem pożegnał i wyszedł. Łuna

głębokiego zapału pokryła mu twarz. Hetman teraz młodszego piersi dotknął.

— A ty mości Jasieniecki garść ludzi weźmiesz i ku tym spóźniającym się skoczysz.

A nie szczędź koni, ani próśb, gdy ich spotkasz. Drogie chwile te — na wagę rycerskiej krwi.

I znowu hetman sam został i sumował. I słyszał, jak zagrały trąby do pochodu, rozległy się hasła i okrzyki, a potem tysiąc głosów jedną pieśń podjęło i poniosło z sobą, coraz słabnącą w dali, zatartą wreszcie czwału ciężkiego odgłosem.

I wiedział, że ludzi tych i ich pieśni już więcej nigdy nie posłyszysz.

A niewiele potem oderwała się od obozu jeszcze garstka jeźdźców i pognała wstecz kraju do swoich po pomoc.

Pozostali nie spoczęli tej nocy. Zbijali tabor, sypali szańce, ryli jak krety ziemię dookoła. Gdy zorza wstała, obóz zjeżony, wozami ostawiony, kilka swych armat naprzód wytknął, i czekał, jak zwierz schylony w swej jamie, natarcia albo wybawienia.

I tak leżał do południa, cały w słuch i wzrok zmieniony.

— Zabawia Jazłowiecki! — mówiono.

— Może już Jasieniecki z odsieczą wraca!

O południu hetman nad szaniec wstąpił i tam ku rzece wzrok sokoli wyteżył. Cicho było i pusto. Odgłosy walki i konania tych dzielnych nie dochodziły jego uszu, ale on w sercu słyszał i jak chmura był ponury.

Co chwilę ich mniej, dogasają — może już wróg po trupach konie rozpuścił i leci zwycięzki. A odsieczy — niema — może nie będzie i teraz na tę ostatnią garstkę przychodzi kolej zguby — i serce kraju odkryte.

— Mości panie, odezwał się stary wojewoda, który niepostrzeżenie obok niego stanął. Nasi tam bieżą — niedobitki, czy już przodownicy Szweda.

— Ten obłok? To kurz!

. To jezdni. Raz, dwa, trzy — pięciu! Naszych to reszta z owej zabawy.

— Skończone tedy. Wskok i tamci będą. Szykować muszkiety i działa.

Zawrzało w obozie. Hetman wciąż patrzył na tę kupkę czwałem lecącą. Wyglądali jak z rozbitego stada żurawi — ostatni.

Dopadł. Jak głos mógł sięgnąć, hetman ku nim krzyknął:

— Na karkach wroga niesiecie?

Pierwszy towarzysz, ochrypły, ranny, do człowieka niepodobny, konia w ziemię wparł.

— Wasza miłość, wasza miłość... Tam Jazłowiecki z ostatnią setką w ogniu. Ale tamci już się chwieją, podają kroku. Jazłowiecki skoczył jak piorun. Żeby go wesprzeć — nasza będzie — nasza. Tylko w lot, nim się obejrzą, że więcej niema i ducha zbiorą! Wasza miłość!... Jeszcze ten mówił, a już hetman, jak stał na konia, siadł i głosem do gromu podobnym cały obóz objął.

— Na koń i wczwał!

Ale zachęty nie było potrzeba. Wojewoda, jak młodzik biegł, kotły uderzyły wściekle, jeden głos pobiegł z ust do ust:

— Na nich! Jazłowieckiego wesprzeć! W konie!

Porwali się i podnieśli, i runęli szalonym pędem.

Tabor został już martwy. Zostały juki i bogactwa, zapasy. Rzucili wszystko. Nawet pacholankowie i ciury biegli, nawet skrwawione owe gońce bez sił.

Bachmat hetmański wiódł, skrzydła mu u kopyt rosły. Pęd tamował oddechy.

Dopadli owego placu zabawy.

Ciury wrogów nie rachowali, przez wały trupów szli.

A szli tam, gdzie w mrowiu dziesięćkroć liczniejszym garstka z owej ostatniej setki miotła się, rzucała, w ostatnich wysiłkach.

Hetman ujrzał jeszcze białe pióra hełmu Jazłowieckiego i miecz jego w żywej dłoni.

Chorągwie wpadły wściekle, siekąc i trutując. Co krok były bliżej.

Oślepli i zapamiętali nic już nie widzieli. Czuli tylko, że opór słabł, ustępował, że siekli już sami tylko, że gonili.

Wtedy rozpuścili znowu rumaki i poszli na karki wrogów, daleko za sobą zostawiając pobojuwisko, działa, namioty trzydziestu tysięcy.

I w pył rozbita — na cztery wiatry poszła ta armia, co serce kraju chciała zagarnąć. Gdy się hetman opamiętał, chorągwie już wracały z pościgu i „Wiwat tryumfator“ powtarzały echa stokrotnie.

Wtedy on się zwrócił, wjechał między trupy, między krwi kałuże i orlem okiem się rozejrzawszy, stanął w miejscu, gdzie wał poległych spoczywał wkoło znaku.

Choraży nie żył, ale o towarzyszków trupy wsparty, wałem ciał obłożony stał, znak jeszcze dzierżąc.

A obok niego z rozrąbaną czaszką, koniem przywalony, obryzgany posoką, leżał Jazłowiecki.

Tedy hetman czapkę swą z czaplemi piórami zdjął i pokłon mu oddał, a ci, co za nim jechali, też głowy odkryli i umilkli, uszanowaniem zdjęci.

A stary wódz zabitego im buławą wskazał.

— Tenci tu tryumfator jest! — rzekł — i bym królewską moc miał, do klejnotu jego dodałbym dzisiaj jedną koronę. A takci mu ją Bóg doda — niebieską.

Skoczyli rycerze i bohatera na rękach podnieśli. Chorągwie się schyliły przed nim, a starszyczna pochód zamykała.

Hetman na jednego z rotmistrzów skinął.

— Weźmiesz waszmość znak ten i miecz i hełm. Synaczka to jego spuścizna i ojcowski testament. Takci ten rycerz chciał i stanie się.

A gdy to mówił, posłyszał okrzyki.

— Jasieniecki wraca. Odsiecz! odsiecz!

Jaseniecki wracał, ale sam. Zdaleka zrozumiał rzecz całą —[dojrzał pochod. Zwolnił kroku i stępa do wodza się zbliżył.

— Wasza miłość! Pospolite ruszenie w niezgodzie. Chyba wasze słowo tam pomoże. Wróciłem z niczem! — rzekł ponuro.

— Tedy Bogu chwała, że między chwastami tej ziemi zasiał nasienie takich, jak ten bohater, bo bez nich nie stałoby Rzeczypospolitej! — odparł hetman z zapalem.

SKRZYDCE

Był sobie raz jeden grajek, na pańskich i królewskich dworach grywający, sławniejszy nad króle, potężniejszy nad rycerze, możniejszy nad magnaty. Po wszej ziemi znane było imię jego, a od gry jego ludzie głowy tracili, a on chadzał we złocie i gwiazdach, z królami biesiadował, a skrzypce jego nosili paziowie w purpurowych osłonach, jako monarsze znaki.

A miałci ten mistrz pacholę służebne, znajdę sierotę, które miłował, bo mu było bardzo wierne i prawdę zawsze mówiło. I ze wszech ludzi to pacholę nie traciło głowy od muzyki mistrza i na hołdy patrzyło obojętnie.

Znalazł je raz mistrz, jak się jego skrzypcom przyglądało, i rzecze:

— Cóż ty! Przecie dziwujesz się mocy mej, że z tego drewna takie cuda wygrywam?

A pacholę rzecze:

— Ej, dziwuję się ja, ale temu, że takie drogocенności nie tak pięknie grają, jako tamte.

— Jakie tamte?

— Sługiwałem u starca, co miał skrzypce nawet nie malowane, a tenci lepiej od was grywał.

— Co za starzec?

— Pustelnik jeden, ztąd daleko. To ci było granie!...

I patrzy pacholę oczami pełnemi łez w niebo, a usta mu się śmieją radością.

Zacieżył na sercu muzykantowi taki sąd i cierni mu utkwiał w duszy.

Co zagra, to szuka oczami w tłumie pacholęcia swego i wypatruje, czy się zachwycą, i znowu go pyta po małym czasie:

— Cóż, nie pięknem dzisiaj grał? Królowie mi hołdowali i płakali rycerze, niewiasty cześć mi niosły, a tłumy się do powozu mego zaprzęgały. Możeż być większy honor i sława?

Ale pacholę, co zawsze prawdę mówi, odrzecz:

— U mego pierwszego pana widziałem większe hołdy i honory. Lepsze jego skrzypce.

Oburzył się mistrz na głupstwo wyrostka, ale ciernia z duszy nie mógł wyrzucić, i po-

czał go lęk trapić, że lada dzień tamten się zjawi i sławę mu zabierze. A on chciał pierwszym być i jednym! Myślał i trapił się, aż wreszcie zagabnął pacholę:

— Jako ci się zda? Sprzeda mi ten starzec te swoje skrzypce? Nie inaczej, zaczarowane być muszą. Pójdź do niego i kup mi je, choć za górę złota.

— Tak nie uczynię, bo zaś się wam skrzypce nie spodobają, albo ja zakłęcia nie pamiętam, to i wiarę u was stracę. Pójdźmy razem. Zawiodę was do starca, posłuchacie grania, przełożycie mu sami swą sprawę i, jako zechce, uczyni.

Pomyślał mistrz, rozważył, ciekawość go przemogła.

— Pójdźmy! — rzecze.

I poszli. Pacholę przodem, niosąc drogocenne skrzypce w purpurowej obsłonie, mistrz za nim, trochę się wstydząc wędrówki.

Zaszli za siódmą rzekę—wstąpili na siódmą górę i zeszli w dolinę samotną, cichą, utajoną jako gniazdo ptasze. Strumyczek się dołem sączył, w koło głązy i głogi, po szczelinach górskie kwiecie i przyparta do ściany kamiennej chatyna pustelnicza.

Takci tam było. Pustelnik na głązie siedział, odmawiając różaniec i patrząc ku szczytom purpurowym, bo słońce zachodziło właśnie.

Spostrzegł wędrowców i poznał pacholę, bo się do niego dobrotliwie uśmiechnął. Miał srebrne włosy wieńcem wkoło głowy, i srebrną brodę, ale oczy śmiejące, i rumieńce na twarzy, i w ustach żywość młodzieńczą. Czuć było, że rad żyje, i rad będzie umierał.

Żartobliwie, węzłem swego sznura pogroził chłopcu.

— Ty, urwisie! Zemkałeś odemnie. Chleb się sprzykrzył, łakotek się chciało. Przyjrzyjno się w źródółku, jak cię łakotki wyblichowały! Jak jabłko rumiany byłeś u mnie!

— Terazem wrócił, ojczy, na chleb wasz i na granie! — uśmiechnął się chłopak. — A ze mną oto mój drugi pan, do którego przystał, gdy od was odszedł. Jest ci to wielki mistrz, co królom gra. I on chce waszego grania posłuchać, i wasze skrzypce poznać.

— Ty, żółtodziobie świergotliwy! A któż cię prosił, żebyś o mojem graniu opowiadał? Nie wiercie mu, panie! Nie uczonym muzyki, ani z tego chwałę mam. Ot sobie grywam, co

myślę, co widzę! Chłopak plecie! Ale jeśliście w gościnę do mnie zaszli, to wam zagram, ale i wy mnie dajcie swego kunsztu usłyszeć. W tej dolinie piękne echo — zagrajcie!

Mistrz dobył swój instrument drogocenny i począł go stroić, a potem zagrał. Starzec słuchał milczący i powoli paciorki bukszpanowe przesuwiał. Ciszej i ciszej czyniło się w dolinie, a mistrz grał, że nie można piękniej. Pacholę oglądało się w koło, jakby szukało publiczności, ale tylko ich trzech było słuchających.

Cichości i mroki wieczorne coraz bardziej ogarniały pustelnię.

A wreszcie mistrz skończył, a starzec zatknął różaniec za pas i rzekł:

— Nie w ludzkiej mocy piękniej grać od was, mistrzu. Cześć ci i sława.

— Wasza teraz kolej, ojcze! — uśmiechnął się muzyk, rad pochwale.

Starzec wszedł do chatki. Jedno miała okienko i jedne drzwi, a wprost okienka, na ścianie, krzyż wisiał z figurą. Za krzyż zatknięte były skrzypce proste, lipowe, takie niezdarne i grube, jakby je nożem wystrugał. Wziął je stary, pod krzyżem stanął, chwilę czegoś słuchał, strun próbował, i zagrał.

Pacholę skinęło na mistrza i wyprowadziło go przed chatę, w cień, i szepnęło:

— Słuchajcie i patrzcie!

A właśnie miesiąc wszedł i uderzył w okienko, i o białą głowę starca, i o gwoździe Ukrzyżowanego. Poczęła pieśń płynąć w dolinę, po owym strumyku miesięcznej światłości, i zbiegać w przepaście, i rozchodzić się po szczytach.

Po chwili szmer się rozległ po skałach, kamyk się w dół stoczył; obejrzał się mistrz i zobaczył, jak z gór schodziły kozice skalne i wyciągnawszy głowy, nastawiwszy uszy, stały zasłuchane, niebojaźliwe nieopodal chatki. A po małej chwili zaszumiało w górach, i cicho płynąc na potężnych skrzydłach, zleciało orłów kilka, i posiadały na zrębach nad chatą i słuchają grania. Patrzy mistrz i dziwuje się, aż oto pacholę za ramię go trąca i na miesiąc wskazuje. A ową ścieżyną z blasków, coś się kłębi, zlatuje. Jakby gołębiat stado—chłopiąt skrzydlatych chmura; popychają się, śmieją, i biegną jak dzieciaki na łąkocie. Dopadły okienka, zazierają do środka, tłoczą się, byle więcej się zmieściło i obsiadłszy gzemsy i fut-

ryny, słuchają, paluszkami dając sobie znaki by hałasem grajkowi nie przeszkadzać. Co się kilkoro nie zmieściło, to się do drzwi ciśnie, na paluszki się wspina, przez szpary zaziera, a wszystkie się śmieją, śmieją z wielkiej uciechy, i pokazują sobie starca.

Nie inaczej, czary są w skrzypcach, mistrz je kupić musi, za jaką niebądź cenę, byle taką publiczność mieć. Patrzy na pacholę, a ono śmieje się i płacze, jakby od zmysłów odchodziło.

A wtem starzec grać przestał i wyszedł przed chatę, jeszcze swe skrzypce trzymając.

Uśmiechnął się do mistrza, i jakby nie widział reszty słuchaczów, rzecze wesoło:

— Takie ci moje mizerne granie!

A mistrz woła:

— Co chcecie za skrzypce wasze, ojcze? Zapłacę, co każecie, ale je mieć muszę, muszę!

— To je sobie weź darmo! Niech ci służą.

— Nauczcie mnie zaklęcia do nich.

— Nijakiego niema.

— Więc weźcie w zamian moje.

— Jak chcesz. Na moje granie każde dobre.

Porwał tedy mistrz zdobycz, i myśląc, że starego oszukał, prędko odszedł, aby się pustelnik nie rozmyślił i słowa nie cofnął.

Pacholę też u starca ostało, a mistrz, dumny, wrócił między ludzi.

I zaraz ogłosił wielki koncert wieczorem, w ogrodzie królewskim, na nowych skrzypcach. Zbiegło się ludzi mrowie, najświetniejsze pany, i znawcy, i bogacze. Gra mistrz, na ludzi nie patrzy, czeka owej publiczności, co w pustelni była. Ale łabędzie, co drzemały nad stawem, nawet głowy z pod skrzydeł nie podnoszą, nie zlatują ptaki, a choć miesiąc świeci, ścieżyną nikt nie zbiega. A ludzie szepcą:

— Co to za instrument nikezemny. W szynkach chyba grajki na takich rzepołą. Czy zwarzował nasz mistrz, czy ucho stracił? Toć piszczy i fałszuje, że w głowie boli.

Gdy mistrz grać przestał, nie było oklasów.

Mistrz tedy pomyślał, że w drodze mu się skrzypki popsuły, począł je narządzać, przyciągać, struny nowe zakładać i znowu koncert dał. Ale tylko ludzie nań przyszli i słuchali.

Więc go gniew opanował, żal, że się dał oszukać starcowi, że swój drogocenny instru-

ment wymienił na takie drewno, i poszedł znowu do pustelni. Zastał znowu starca przesuującego paciorki i rzekł gniewnie:

— Nie nauczyliście mnie zaklęcia, skrzypki wasze ladaco. Jakże to może być! Chciałem sobie sławy przysporzyć, a i tę stracę na tej zamianie.

— Samiście zamiany chcieli, nie ja. Możecie teraz swoje odebrać. Dla mnie każde dobre! — uśmiecha się starzec.

I wynosi mu jego skrzypce i oddaje, a swoje odebrał, za krzyż zatknął, i znowu koronkę niżej, wcale nie urażony.

Mistrz powstydził się gniewu i pokornie pyta:

— Powiedzcie mi, czemuż ja takiej publiczności nie mogę mieć, jaka do was przychodzi?

A starzec uśmiecha się dobrotliwie i rzecze:

— Mój synu, dla ludzi, grasz, ludzi masz. Syt że bądź sławy swojej.

I do mnie też taka publiczność przychodzi, dla której gram.

SURMA

Nikt z ludzi nie wiedział, że Ulisia i Roman miłują się z sobą. Ona była jedynaczką u bogacza, on — synem komornicy, parobkiem u gospodarza.

Oni sami nie gadali nigdy ze sobą o „lubieniu“, bo wiedzieli, że na jesieni los ich rozłączy, że się rozejdą jak drogi za wsią. Ona do kościoła pójdzie do ślubu, a on do dworu na zarobki.

Tym czasem wiosna była. W brzozowych zaroślach co wieczora i co ranka spotykali się, bez mówienia, bez myśli. Pierwszy raz przypadkiem — on z wołami czarnymi, ona z wołami krasnemi — na paszę, po robocie. Rzekła mu wesoło pozdrowienie, bo śmiała i zaczepna była dziewczucha, on jej odpowiedział półgębkiem, bo z natury mruk był i do gawędy nie ochotny.

Paśli opodał na polance i widzieć się musieli. Ulisia śpiewać zaczęła, parobczak łyki dał i w milczeniu słuchał.

Brzeźniak cały się mał, a dołem ruczaj biegł, złotym „łotaciem“ obrzeżony. Zaciszenie tu było, a tak odludnie, że ptactwa mnóstwo osiedliło się w gąszczu i pilnie gniazda sobie wilo.

Woły, po kolana w młodej trawie brodząc, prędko się nasyciły i legły, a na ziemię majowy zmierzch się nasuwał i zalegała cisza odludzie.

Roman młodą łozinę odciął, korę całkowicie oddzielił i wnet ligawkę sporządził.

Zerknął na dziewczynę, rad się jej pozbyć, bo mu wstyd było dorosłemu grać, jak pastuszek nieletni, ale potem ramionami ruszył. To i co? Niech się prześmiewa — jednakowoż ona nie dla niego, on nie dla niej hodowany. Ledwie, że ją znał.

Zagrał sobie zcicha, potem coraz śmielej.

Dziewczyna przestała śpiewać, zbliżyła się ku niemu, i patrząc nań — słuchała.

Podobał się jej odrazu, bo go dudka słuchała, jak żywa.

— Czemu ze skrzypcami w karczmie nie grywasz?

— Bom na służbie,

— Szmat ci płacą?

— Matka zabiera... nie wiem! Matka o ziemię się sądzi z Jankami.

— E... gadają, że nic z tego nie będzie.

Ruszył ramionami, dutkę schował w pień spróchniałej wierzby i zegnał woły z łąki.

— Chodźmy razem, będzie ochotniej! — rzęła Ulisia.

— Nie jedna nam droga.

— Do cmentarza jedna... a tam straszy!

— Do cmentarza wszystkim jedna! — mruknął.

I poszli, on patrząc apatycznie pod stopy, ona raz wraz ku niemu zerkając.

Suchy był, chudy, czerniawy — w biedzie wzrosły i zhodowany. Matkę jego, gdy owdowiała, wygnał mężowski brat z chaty z niemowlęciem u piersi. Ale była to kobieta młoda i dzielna, miała też rozum nie babski. Bez lamentów ustąpiła, poszła z dzieckiem na służbę do dworu. Mało miała czasu dla niego, ale grosz zbierała chciwie. Pólnadzy bywali oboje, butów nigdy nie znał Roman, ani kożucha, i już od sześciu lat zaczął zarabiać, pasając

indyki, gęsi, potem nierogaciznę. Gdy miał dwanaście lat, matka zrachowała swoje kapitały i zabrawszy go opuściła dwór.

U gromady uprosiła plac na wygonie za wsią i postawiła sobie chatynę malutką. Potem już tylko zarabiała dziennie rok cały; zarabiał i chłopak, ale grosza nigdy nie miał w ręku, bo matka dalej skapiła na proces z bogatym szwagrem.

Osiem lat tak trwało — i sprawiedliwość tak zwlekała, jakby ci, którzy jej wyglądali, byli nieśmiertelni. Gdyby kobieta obliczyła pieniądze, które ją to kosztowało, przeraziłaby się, z łez jej i stękań tyloletnich strumień by się złożył — jednakże nie myślała ustąpić. Romana oddała w służbę do gospodarza, by się roboty wszelakiej nauczył, sama dzień w dzień szła na zarobki, zawsze głodna, bosa, obdarta, a w niedzielę odwiedzała doradców i adwokatów, bez żalu oddając im tygodniowy grosz na sprawę.

Drwiono z niej we wsi. Wskutek ciągłej poniewierki i nieszczęść, i zawodów zgryźliwą się stała nawet dla jedynaka, gdy ją odwiedzał w sobotnie wieczory. Chłopak zaznał więcej

razów niż pieszczot i nie pamiętał, by kto do niego przychylnie zagadał, nie wiedział co odpoczynek i śmiech i swawola. Tak rósł i tak dojrzał..

— Dobrze ci u Stefana? — zagadnęła go Ulisia po drodze.

— Nie bije! — odparł apatycznie.

— Powiadają, że swą Seklitę chce ci dać! Podniósł oczy.

— Na co?

— Głupiś!... na żonę... jak sprawę wygracie.

I śmiała się z jego miny jakby zawstydzonej, gdy o tem posłyszał. Tak się śmiała, że nawet nie obejrzała się na cmentarz, który mijali w tej chwili.

Wnet się i drogi ich rozdzielały.

„Dobra noc“ rzekli sobie obojętnie.

Ale nazajutrz znowu się spotkali przy wołach i razem poszli w łozy szukać czajczych jaj na wieczerzę. Mówili już więcej i śmielej. Dziewczyna go zaczepiała na żart, na ciekawość, czy ten mruk się obejrzy.

Nie odpowiedział na zaczepki, ale poczerwieniał i umilkł, jakby zalekły. Wydrwiła go

w oczy, ale wróciwszy do chaty, nikomu o Romanie nic nie rzekła i znowu wieczorem pognała woły na polankę.

Potem dzień po dniu przywykli do siebie. Nie zaczępiała go więcej, stała się cichsza i zadumana. Siadywała na zwałonej brzezinie i słuchała jego ligawki. Nie kwapiła się do domu; on pierwszy dawał hasło do powrotu.

Aż raz wieczorem, naprzeciw cmentarza, coś ją wystraszyło okrutnie. Krzyknęła i rzuciła się ku niemu, przypadła mu do piersi, objęła za szyję. Trzęsła się z lęku, czy też ją inna moc tak targała.

Spłoszył ich skrzyp wozu, odskoczyli i już słowa nie rzekli aż do rozstaju.

Tego dnia on pierwszy pożegnanie wymówił:

— Do zobaczenia, Ulisiu!

— Dobrej ci nocy, sokole!

Woły ich tak się poznały, że porykiwały zdala do siebie. Co za dziw, że poznali się i polubili ludzie!..

Zaczęła mu przynosić ukradkiem jaki przysmak, podarowała mu szalik czerwony, połatała mu siermięgę.

On jej nie dać nie mógł, bo nie miał, więc jej grywał tylko i wyszukiwał dla jej wołów najlepszej paszy. Chwalił ojciec Uliśię, że się nie leniła pasać, że i nie dospała nocy, i straciła czasem wieczerzę, byle tylko były syte. Radowała się matka, że dziewczyna krásnieje zdrowiem i urodą i do roboty idzie jak do tańca, i nawet w niedzielę ojca wyręcza, skoro świt woły wypędza, po zmroku wraca.

A że wracała ostatnia, nikt ich nie podpatrzył u krzyża na rozstaju, jak się żegnali, a w gęstym brzeźniaku tylko ptaszki podglądały ich pocałunki.

Roman się odmienił. Ruszał się rażniej, szedł prosto i żywo, czasami po ustach milezących uśmiech mu się przemykał, a w ciemnych oczach błyskało tajemniczo.

Co soboty dopominał się u matki świeżej bielizny i swarzył się o czerwoną tasiemkę do koszuli, co dotąd było nieznanym zbytkiem.

Pewnego wieczora znalazła go Uliśia nad robotą. Spory olszniak ściał na dwoje, rozłupał i wyłobiwszy napowrót złożył i obręczami ścisnął.

— Będzie surma! — rzekł jej. — Jak hreczkę zbiorą i swaty do ciebie chodzić zaczną, to wtedy na niej zagram.

— Nieprawda, swatów wygonię! Jeszcze rok wolna pobędę, jeszcze lato woły popaszę z tobą.

Zagraj mi zaraz, spróbuj surmy.

— Nie godzi się! — odparł przejęty i wier-
ny ślepo tradycji. — Do jesieni niech czeka.

Dziewczyna wytrąciła mu z rąk robotę.

— Jutro już nie przyjdę! — westchnęła.

— A kto? — zapytał niespokojnie.

— Ojciec sam. Mnie do lnu gonią.

— Tak i ja myślał, że niedługo naszego! —
zamruczał ponuro.

— Co wieczora na rozstaje do ciebie
wybiegnę!

— Nie wybiegaj, jeszcze cię ludzie do-
patrzą i po wsi rozplotą.

— To i co? Jakiś ty głupi. Żebyś ty
rozumny był, to by wszystko inaczej poszło.

— Nie chcę innym być, ani ciebie zmar-
nować.

Rozgniewało ją to i obraziło.

— Takie to, twoje lubienie głupie. Nie
wybiegnę do rozstaju, boś nie wart.

Spędziła swoje woły i odeszła sama. Na
złość mu śpiewała całą drogę skoczne, weselne

śpiewki. Cały tydzień nie poszła nawet w jego stronę, po robocie wieczorami swawoliła i tańczyła w karczmie.

Najbardziej dokazywała tej niedzieli, gdy go ujrzała wśród parobków. Nie tańczył, ani pił, nawet do izby nie wszedł. Przez okno do wnętrza patrzył, a smutne jego oczy nie schodziły z niej, gdy hasała piękna, bogata, wyróżniana przez chłopców.

Kręcił się najbardziej przy niej Teodor, bratanek jego, ten, z którym się o ziemię sędzili, a Ulisia chichotała z nim. Chciała Romanowi pokazać, czem była, i jaką dziewczkę stracił przez swoją głupotę, ale jego żalosne oczy nie schodziły z niej i taka ją ogarnęła wreszcie rzewność, taki żal, że choć taniec trwał dalej, znikła z karczmy, skryła się do matczynej komory i tam w kącie przepłakała całą nockę, narzekając na swą dolę.

Nazajutrz wieczorem pobiegła pod krzyż na rozstaju. Człowiek tam siedział skulony, więc ona udała, że dalej idzie, tylko przystanęła chwilkę.

— Roman, kogo ty wyczekujesz? — spytała szyderczo.

— Nikogo. Tak sobie zaszedł... odpocząć!—
odparł łagodnie i smutno.

Rzewność chwyciła za serce dziewczynę.

— Nie *złujesz* na mnie? — spytała nieśmiało, siadając obok niego.

— Nie. Toż ty nie moja, ani moja będziesz!

— A mnie do ciebie tak nudno, sokole! —
szepnęła.

Pogładził ją po głowie i ramieniem objął.

Plakała, sama nie wiedząc czego, bo jej
wcale ni źle, ni smutno nie było. I tak się
pogodzili.

Odtąd codzien wybiegała na rozstaje do
niego. Nie dał się namówić do karczmy, ani
do znajomych, ani do sąsiadów, ani do żadnej
zabawy. Skryty był i lękliwy, a taki jak dziew-
czyna wstydlivy. Ni się pochwalił z jej kocha-
nia, ni skorzystał, ni się na włos uzuchwalił,
ni jej kiedy rzekł złe słowo.

Dziwiła mu się bardzo i czasem aż się
gniewała, ale szła co wieczór pod krzyż i tę-
skniła po nim dzień cały.

Aż około pół lata wszystko się skończyło.

Zjechał do karczmy żyd ludzi na flisy go-
dzić, płacił bardzo drogo. Romanowej matce

donieśli o tem ludzie, wpadła jak furja do chaty Stefana zabrać syna.

Chłopak właśnie z sochą wrócił i woły wyprzegał, gdy się gwałt w izbie uczynił.

Gospodarz wymyślał wdowie od „szachrajów“, ona krzyczała, że dosyć jej parobek darmo mu napracował, i zbierała jego szmaty z ławy w sieniach, gdzie sypiał.

Roman na to wszedł i zrozumiawszy, o co rzecz idzie, stanął po stronie gospodarza, tłumacząc matce, że gdy go przekarmiono na przednówku, to słuszną, by lato odsłużył, że inaczej krzywda będzie dla Stefana.

Na to wdowa wpadła w pasję, wyrwała mu z rąk kij, którym woły popędzał i zaczęła go nim okładać.

— To ty mnie uczyć będziesz i sądzić, błaznie? Ty chcesz być od matki starszym? To ty mi bunt czynisz! A do chaty, smarkaczu, a do chaty! Ja ci pokażę, kto starszy!

Wygnała go aż na ulicę, porwała szmaty i obojętna na łajanie całej rodziny Stefana, wyszła z kijem na ramieniu, odgrażając się w duchu, że go na plecach Romana pobije w kawałki.

Chatyna ich stała na wygonie, więc nikt nie widział, czy dotrzymała słowa, ale już nazajutrz o świcie Roman poszedł z kompanją flisaków pieszo mil kilkanaście do punktu, gdzie ich tratwy czekały:

Ludzie we wsi zboża pożęli, trawy pokosili i na rok przyszły pola obsieli, a flisaki nie wracali. Mówiono, że kilku utonęło, że cholera ich dziesiątkuje, że złe febry ich trapią. Wdowa słuchała tego i płakała, suchy swój chleb samotnie jedząc, ale potem zaczynała rachować tygodnie, a każdy był po trzy ruble—i osychały jej łzy.

Nareszcie w chłodną już jesień zaczęli wracać.

Najwpierw najzdrowsi i najleniwi—chłopy rosłe i wesole. Wybiegła do nich na drogę.

— A mój Roman gdzie?

— Został się. Febra go do cna zjadła. Jeśli się przywlecze, to ostatni. A może i umrze.

Wtedy ją dopiero strach zdjął. A nuż nie wróci?

Po wygonie, opodał chaty, bocian samotny się wałęsał. Odleciały silne i zdrowe, on został na zimę... na śmierć.

Może jej Roman tak się zostanie nad rzeką i umrze, bo iść nie ma mocy?

Chciała biedz do niego, ale nie miała chleba na drogę, ani wiedziała gdzie go szukać.

Codzień więc tylko wyglądała flisaków, pytała o wieści. Oni przez złośliwość bezduszną drażnili się z nią. Mówili, że się utopił już dawno, że go okradli, że w szpitalu leży — każdy co innego. Więc przestała pytać. Stawała u płotu i ponuro na nich patrzyła, gdy mijali chatynę, myśląc, że może który sam się odezwie. Ale się kwapili do domów, i nikt we wsi nie lubił baby jędzy, więc nikt jej nie zaczepiał.

Nareszcie wszyscy wrócili, oprócz dwóch, którzy na cholere zmarli, a Romana nie było. Stefan, ilekroć wdowę spotkał, szydził z niej bez litości. W chatce dach się zawalił i nie było komu go naprawić, brakło drew i chleba. Czarne dnie przyszły, kobiecie opadły ręce, siedziała w pustce, nie czując głodu i chłodu, tylko rozpacz bezbrzeżną

Bocian skazaniec, nie mając w bagnie pożywienia, do chatki się przyplątał. Ze ścian spróchniałych wybierał robaki i w śmieciu glist

szukał, a wieczorem, zawracając szyję, klekotał żałośnie, lub zamyślony, z obwisłymi skrzydłymi, wpatrywał się beznadziejnie, z bierną rezygnacją w chmury zimowe, zasnuwające horyzont.

A tymczasem Roman się włókł do chaty.

Ze szpitala się zawczasie wyprosił, rachował na swe siły i tęsknotę. Szedł pół dnia, a resztę czasu z febrą się borykał. Wsuwał się wtedy pod krzak przydrożny w jamę piaskową, pod most, gdziekolwiek czuł trochę ciepła i zacisza. Tam paroksyzm przebywał i znowu się włókł, coraz wolniej.

Ludzi się bał o przytułek prosić, do karczmy zajść grosza żałował. Pił wodę, a czasami w lesie ośmielał się ognisko rozpaścić i upiec na węglach znalezione przy drodze bedłki.

Bywały dni, gdzie wcale iść nie miał siły. Leżał na mokrej ziemi, otulając się szmatami siermięgi; myślał wtedy, że umrze.

Ale wnet majaczała mu w oczach chata na wygonie i krzyż na rozdrożu, dźwigał się z jękiem i szedł, zaciskając zęby, starając się o słabości nie myśleć.

Poznał wreszcie swoją okolicę, zobaczył dymy nad wioską, zaleciał mu w nozdrza za-

pach chleba. Teraz już dojdzie! Odpoczywał co kilkadziesiąt kroków, kijem się podpierał, wszystkie bóle czuł srożej, ale wierzył, że jeśli i zamrze, to w chacie.

Drżącą ręką skobel wrótek poruszył i do drzwi zakolała.

— Otwórzcie, matko...

— Roman! — krzyknęła z wybuchem szczęścia.

Po chwili przed kominem siedział dygocąc.

Matka porąbała kawałek płotu, by go ogrzać, przystawiła garnek kartofli, wydobyła mu świeżą bieliznę i siermięgę niedzielną.

Ale ona go nie popieściła, nie pocałowała; na rogu stołu rachowała przyniesione pieniądze.

Dwa dni przeleżał na piecu, ale i tyle było odpoczynku i wywczasu. Zahartowany, twardy, zmógł chorobę, napędzała robota, napędzała zima i deszcz, który zwałonym dachem zaciekał.

Wtedy spytał matki, co we wsi słyhać, a oczy miał w ziemię white, jakby wiedział, że niema czem się radować.

— Dobrze słyhać, synku! — odparła. — Stryj twój śnać czuje, że sprawę z nami prze-

gra, kiedy Teodora „w prystupy“ od siebie daje! Czuje, że ciasno stanie na polu. Na wiosnę swoje będziesz orał!

— Do kogóż idzie Teodor?

— Do starostowej Ulisi. W niedzielę ślub wzięli!

Roman słowa nie rzekł. Nie znać było po nim uciechy z własnej roli. Jak siedział na ławie, tak jeszcze bardziej się zgarbił i łokcie do żeber przycisnął, jak kiedy dreszcze zaczynały trząść i męczyć. A wdowa mówiła dalej:

— Ja się ogarnę i do adwokata pieniądze poniosę, a ty nie trać czasu. Naści rubla, wyproś u kogo furmankę, taj o krokwiach pomyśl. Ano, grosza żałuj, bo wiele go nam trzeba będzie na zimę, a ot ja przez ciebie już trzeci dzień na robotę nie chodzę.

I poszła. Drobnny październikowy deszcz zakrywał cały świat, obijał resztki liści, wicher jęczał przeciągle. Roman długi czas przesiedział bezczynnie, lenistwo go opanowało i niechęć do jakiegokolwiek zajęcia.

Wtem ktoś do drzwi zapukał. Wstał więc i otworzył. Na progu bocian straceniec stał zmokły, skostniały, tak nieszczęśliwy, że o przytułek i chleb człowieka prosił.

— Chodź, nieboraku! — rzekł Roman, ustępując mu z progu.

Ptak wszedł i nieśmiało w kąć się wtulił; okrągłe jego oczy miały wyraz błagalny.

Parobek rzucił mu chleba kawał, resztkę kartofli.

— Ot i bydlę już mam na gospodarkę! — szepnął, uśmiechając się smutnie. — Byleż go matka nie wygnała, nieboraka.

Wtedy przypomniał sobie matczyne polecenie i, zostawiwszy ptaka na straży chaty, wyszedł.

We wsi grzmiało od weselnych bębnow i krzyków tańczących gości, Romana coś odtrąciło z ulicy. Zapomniał o furmance i krokwiach, poszedł po za gumnami, na rozstaje. Na krzyżu nowy fartuszek ktoś zawiesił, poznał wyszywanie krasne — i stęknął.

Zawrócił na drogę do lasu, na cmentarz mimochodem spojrzął i do polanki owej trafił, kędy wiosną Stefanowe byki pasał.

Brzeźniak stał bezlistny, wicher go smagał i deszcz, w strzępach wisały gniazd resztki, a starą wierzbę starość pochyliła w ruczaj.

Tu i tam powałęsał się Roman, garść wrzosów zerwał, a wreszcie z pod zielska wod-

nego wydobyl swą surmę, którą tu na wiosnę był schował, na ramię ją wziął i ruszył z powrotem.

Droga i pole, i łąka —wszystko już było puste. Ni zwierza, ni człowieka.

Za fartuszek Ulisi parobczak wrzosa zatknął, ku wsi popatrzył żalosnymi oczyma i, oparłszy surmę na płocie, zadał.

Zapłakała, zajęczała olszyna, i to zawodzenie rozdzierające popłynęło z wichrem, nizko nad ziemią ku weselnym odgłosom.

Już hreczkę pożęli, dziewczynę mi wzięli,

Hej idzie zima, hej zima...

Już hreczka skoszona, robota skończona,

A doli niema, hej niema...

U starosty w izbie Ulisiasiedziała za stołem, za korowajem, zdejmowano jej wieniec z głowy, zawijano namitkę. Na chwilę śpiewy się prze-rwały i jęk surmy doleciał.

Ulisia głowę podniosła nasłuchując, choć to przecie nic nie było rzadkiego to granie.

A wtem ktoś wszedł z podwórza i rzekł do pana młodego:

— Gadali, że twój bratanek na flisach przepadł, a on zdrów... pod krzyżem ot w surmę dmie.

Teodor splunął niechętnie.

— Taki ród podły, to go nic nie zgubi — mruknął ze złością.

Ulisia spuściła głowę i ręcznikiem weselnym zakryła oczy łez pełne. Romanowe granie dla niej było, jak to jej był wiosną obiecał...

Hreczkę pożęli, swaty ją wzięli, a on przyszedł pod krzyż pożegnać ją poswojemu, smutno, a potajemnie, żeby nikt nie zrozumiał.

I zdjął ją żal okrutny za chłopakiem, który głupi był i sponiewierać jej nie chciał, chociaż tylekroć mógł, bo go miłowała bez pamięci.

Śpiewy weselne zagłuszyły płacz surmy, krewni zaczęli darzyć dziewczynę rzucając na korowaj pieniądze i płótno. Ulisia płakała, aż się dziwowały swachy i kumy, co jej tak nagle do serca przystąpiło...

.

Gdy Roman wieczorem do chaty wrócił z surmą, a bez krokwi, matka wpadła w gniew straszny, porwała instrument i wrzuciła do pieca, wymyślając mu i grożąc.

On się jej nie opierał, spojrzał jak płomień objęły surmę i spokojnie rzekł:

— Nie będę już więcej nigdy grać, ni próżnować. Niech zgore. Jeszcze ja dzisiaj słaby się czułem, taj chory. Więcej tego nie będzie.

Poszukał oczyma bociana, dojrzaawszy go śpiącego w kącie, dodał:

— A ten sierota niech z nami zimuje. Ostał sam, jak i ja... i takiż słaby.

— Niechta!—mruknęła wdowa, ułagodzona jego pokorą i wspomnieniem choroby.

I tak się lato Romanowe skończyło.

DRWAL

<https://rcin.org.pl>

W okrutnych borach był drwał. Wiedział że bory należą do jakiegoś wielkiego pana, ale go ani znał, ani widział kiedykolwiek. Słyszał że rzeka, która drzewo niosła w świat—płynie i niesie jego pracę do jakiegoś wielkiego morza, ale—on nie miał czasu do tego morza dojechać, ni dojść—zobaczyć jego ogromu i potęgi. Słyszał, że z pni, które ścina, tworzą się wielkie budowy, okręty, piękne sprzęty i rzeźby po farach—ale nie zobaczyły tego nigdy jego oczy.

On tylko pnie ścinał, kłody obrabiał, korzenie karczował—krwawym potem się oblewał, kark nastawiał, dłonie kaleczył, barki wyteżał—i życie tak zbył, a puszcza—jak stała, tak stała. Tyle śladu w niej wyrąbał przez żywot, co ślad mrówki na leśnej rubieży.

A miałci on syna jedynaka-dziedzica.

Chłopak się udał dowcipny, ciekawy, ducha niespokojnego. Słuchał, co flisaki mówią, co kupcy dowodzą, co wędrownie grajki i kramarze bają — słuchał nawet, co świergoce przylotne ptactwo na wiosnę.

Dumki bujne objęły jego duszę, do roboty ojcowskiej się nie brał, skrzypki sobie sprawił, pieśni się nauczył—w świat się wybierał.

Stary drwał ni mu przeczył, ni namawiał; uśmiechał się dziwnie, lub głową potrząsał, słuchając chłopaka, co go kusił.

— Chodźmy ztąd, tatusiu, do żyznych krajów, do wielkiego morza, dopięknych miast—i bogatych ludzi. Posłyszemy śpiewania i muzykę. Kark wam się zgarbił, ramiona pomdlały, po twarzy wam męka i pot brózdę poczyniły, jak pług na polu! Chodźmy.

Stary głową trząśł i rąbał.

— Kto mnie najął—obiecał zapłacić. Trza czekać na rachunek!

— Flisaki mówią, że się niczego nie doczekacie.

— Kto was najął—jużby się zgłosił, żeby sumienie miał. Ale on was oszukał—jak głupca,

i pewnie już o was i nie pamięta. Flisaki i kramarze, i kupcy drwią z was.

— Oni mego pana nie znają—a ja wiem, że przyjdzie. Poczekaj—jak się obrachuję, zapłatę wezmę—wtedy pójdziemy.

Czekali tedy. Chłopak skrzypki stroił, stary rąbał. Aż oto jednej nocy -- gdy spali w swej budzie —usłyszał chłopak stukanie do drzwi. Sen to był, czy jawa. Z pościeli się nie podniósł, ale za trzeciem stukaniem ojciec wstał, kaganek zaświecił i skobel odsunął. Do izby weszła kobieta w szatach ciemnych, wdowim kwefie na głowie i z kosturem pielgrzymim w rękę. Oblicze jej było smutne i surowe.

A stary drwał, jakby ją poznał, do nóg jej runął i kraj burej szaty do ust podniósł, całując, jakby jakie relikwie.

W budzie uczyniła się łagodna jasność, jako letniego poranku, a niewiasta dotknęła głowy drwała.

— Witajcie! — rzekła.

Na jej głos poczęło chłopcu serce walić i dusza się rwać—by także pokłon oddać, ale go niemoc trzymała na posłaniu. Więc tedy tylko patrzył i słuchał.

— Otom wasz sługa, pani!—rzekł drwał.

— Myślałeś może, że nie przyjdę! — na to ona.

— Czekałem was z wiarą i czyniłem jakieście kazali.

Spojrzała na ręce jego zgrubiałe, na kark zgarbiony, na lice pobróżdzone i siwą głowę starca.

— Służyłeś wiernie. Oto masz zapłatę.

I tedy z poły swej szaty dobyła obręcz złotą, jakby koronę królewską, i włożyła mu na głowę. Potem sięgnęła po siekierę jego i dała mu w prawicę—a nie siekiera to była, a berło, jarzące od klejnotów, a potem wzięła ze stołu czarnego chleba skibę i dała mu wlewicę, i nie chleb to był, ale jabłko królewskie.

Kark drwała się wyprostował, zmarszczki znikły, ręce wybielały, a opończa gruba stała się szkarłatem i powstał z ziemi — monarchą i panem. I oto, czy ściany się rozstały, czy jakie cudo zobaczył chłopak, że ojciec króluje na majestacie potężnym, nad żyznym krajem, nad wielkim morzem, nad potężnymi okrętami, nad ludem wesołym. A kraj ten—to karczowiska z ich puszczy, a morze to—to rzeki

ich ujście, a statki te—z pni, które walił i obra-
biał, a na sprzętach i rzeźbach majestatu jeszcze
ślady jego potu.

— Tatusiu — krzyknął — co się z was
zrobiło.

A stary, rozpromieniony, piękny, potężny,
rzecze:

— A tom, synku, sobie wyrąbał, tom so-
bie wysłużył.

— Toście bogaci, tatusiu, nie będziecie
już pracować.

— Ja szczęśliwy, synku.

— To i ja z wami będę królował?

— Nie wiem, synku, do kogo się zgodzisz
na służbę, kto ci będzie panem?

Obejrzał się chłopak, szukając niewiasty
swej.

— Kiedy mi ona szczęście obieca, to się
do niej zgodzę! — rzekł.

Ale niewiasta już odeszła i majestat ojco-
wski począł się oddalać, oddalać, a został chło-
pak sam w ciemności.

Sen to był — czy jawa?

Rano, gdy się obudził, świt zaglądał do
budy, na posłaniu ojciec leżał, w opończę otu-
lony i nie wstawał do roboty.

Zerwał się chłopak, za ramię go potrząsnął. Ramię osunęło się bezwładne. Drwał był umarły. Ręce miał czarne i grube, członki wychudłe, taki był, jak zwykle. Tylko brzozy z twarzy się wygładziły i oblicze miał rozpromienione, piękne, jasne, jako się stało, gdy na majestacie zasiadał.

— Tatusiu—zawołał chłopak rozpacznie— a toście królem zostali i oto was śmierć wzięła. Przekłeta, przekłeta—nie dała wam nagrodę się nacieszyć. — A stary drwał uśmiechał się!

Pogrzebał go syn na leśnej rubieży, kędy ostatniego dnia pracował, i na mogiłę chodził żałosny, nie wiedząc, co z sobą robić.

W budzie ognisko wygasło i chleb spleśniał i siekiera starego rdzewiała w kącie. Syn był, jak sługa bez służby, jak człowiek, który drogi nie zna. Aż oto jednego wieczora, wracając na noc do budy, zobaczył przez okno płomień ogniska.

Wszedł i pokłonił się nisko, a serce mu biło. Niewiasta owa w burej szacie siedziała u ognia i wycierała ze rdzy siekierę drwała.

— Cześć ci, pani! — szepnął chłopak nieśmiało.

— Bądź pozdrowiony, dziecko!—odparła. Wstąpiłam tu, by nowego sługę osadzić. Robota nie powinna ustawać, bo wielka i na długie jeszcze lata; miejsce to musi być zajęte, dobro moje muszę poruczyć w nowe ręce. Chcesz-li, pocnym ojcu twoim obowiązek przyjąć?

— A jakąż mi pani dasz nagrodę i zapłatę?

— Dam ci szczęście i królowanie.

— Jako tatuś dostał—i umarł. Daj mi je rychlej, pani, bym się nacieszył.

— Nacieszysz się! Jaka praca, taka zapłata. Twój ojciec wiele pracował, wiele zdziałał.

— Ja więcej uczynię—ja ci, pani, całą tę puszcę zwalę.

— Daj ci Boże!

— A długoż mi na zapłatę czekać?

— Przysłę ci szczęście, a przyniosę królowanie, jeśli godny będziesz. Niema zdrady w słowach moich.

— Tedy zostanę w służbie waszej.

— Naści-że ojcowską siekierę i rozpalone ognisko. Zali miłujesz mnie?

I powstawszy, położyła swe ręce na jego głowie i przygarnęła go do piersi. A jemu się uczyniło tak rzewnie i miło, jako u matki na łonie.

— Miłuję cię, pani, miłuję! — wyjąkał z głębi duszy.

— Miłuj, bom wdowa i sierota, i tyle szczęścia mi, co z waszego kochania i pracy.

— Będę-że wam jako matce pracował!

— A ja cię nie zapomnę i stokrotnie zapłacę!

I jeszcze raz do serca go przygarnęła i odeszła.

A on i dnia nie czekał i skoczył do roboty.

Huczał topór w puszczy, waliły się drzewa, moc młoda była w drwału — robota szła piorunem.

Aż się dziwili flisacy i kupcy, co jeden drwał uczynić może. A on zmęczenia nie czuł, sztuk nie rachował, za siebie się nie oglądał.

— Zwalę całą puszcę — żyzny kraj swej pani uczynię. Co mi tam — moc mam okrutną.

Rok minął — i drugi, i trzeci. Puszcza jak stała, tak stała. Chłopak się rozrósł i wybujał, jak dąb był piękny i silny, śpiewający robotę zbywał. Aż przyszła doń na te pieśni — dziewczyna krasawica, ze śmiejącemi oczami i zatrzymała się dla urody jego. A on na nią popatrzył i rozmyślał się.

— A oto i szczęście przysłała mi pani moja! — pomyślał.

Cudneż to było lato. Ino śpiewy i kwiaty, i śmiechy.

— Zostań-że u mnie, ptaszyno. Zaczekaj, aż pani moja zapłatę mi przyniesie. Poproszę jej o złoto dla ciebie, o piękne szaty i sprzęty, o pałac i cugi. Ona można jest i miłuje mnie—nie odmówi!

Została dziewczyna całe lato, została i jesienią.

Ale pani nie przychodziła z zapłatą. Drwał drzewo walił i obrabiał, dziewczynie się nudziło i przykrzyło w nędznej budzie, na czarnym chlebie.

Nie było ani złota, ani szat, ani sprzętów, ani cugów.

Była wokoło puszcza głucha — i bieda, i praca.

— Gdzież ta pani twoja? — pytała coraz niecierpliwiej.

— Przyjdzie—odpowiadał z wiarą.

— Głupiś. Darmo służysz oszustce. Ja nie chcę czekać.

I porzuciła go. Poszła do ludzi, do żywnych krajów, gdzie się bawią i używają.

Gdy jej nie stało, on siekierę cisnął—i bezczynny długi czas przesiedział. Zabolały go raz pierwszy ramiona, zapiekły szramy i blizny, pogłębiły się oczy.

Potem w drogę ruszył — nie po nią, ale by tę puszcę przejść, kres jej zobaczyć.

Szedł i szedł, a puszczy końca nie było.

Tedy się przekonał, że jej nie zwali i ledwie ślad maluchny w niej wyrąbie—i gorzko zapłakał.

Tyle zapału i mocy zużył —i znaku niema.

Po wielu dniach wrócił do swej budy—i zbuntowany był.

— Precz pójdę! — myślał. Do lepszych panów, do lżejszej roboty, gdzie mnie ocenia i pochwałą, gdzie nie zgine bez chwały i słyhu—jako drwał nieznany.

Ale teraz znowu żal go zdjął — lat przecierpianych, potu i bólu, i tej pracy rozpoczętej — i siedział wahający.

I tak go zeszedł śpiewak wędrowny—starzec stuletni, co z lirą chodził po siołach.

— Pochwalonyś, drwału wierny, wspomina cię wdzięcznie pani twoja! — rzekł.

A drwalowi po przez żalność i słabość za-
biło serce.

— Bajecie, starcze! Nie pomni ona mnie!

A starzec lirę zakręcił i jął mu pieśni
śpiewać o tej pani-wdowie—a ze starych oczu
łzy mu biegły.

Takci i ten ją miłował.

I znowu potem huczał topór w puszczy
i waliły się drzewa. Drwał nie poszedł do lep-
szych panów.

Tylko już nie marzył, że puszcę całą
zwali, i już nie śpiewał przy robocie

Żywot ludzki prędko opisać—powoli prze-
żyć. Dzień po dniu się niże, jak jednakowe
paciorki; drwał ich nie rachował, ino się same
maluchnemi kreskami pisały na obliczu jego.
Z tych kresek lata czyniły głębsze znaki i wtedy
on je czuł. Czuł, że sztywnieją nogi, że ciężą
ramiona, że bolą członki. A puszcza jak stała,
tak stała. Raz i drugi niemoc go na posłanie
rzuciła, raz i drugi powracała mu fala rozpa-
czy, i stawał w robocie, i patrzył mgławo w czar-
ną głąb puszczy bez kresu, a potem usta za-
cinał, dusił bunt—i rąbał, rąbał—coraz smut-
niejszy, coraz cichszy.

Jednakże w głębi duszy jeszcze odwiedzin swej pani i nagrody się spodziewał. Czasami wracał z nadzieją do budy, że ją znajdzie u ogniska, że choć dobre słowo mu powie, jeśli płacić nie ma czem.

On bo i dobrego słowa nie słyszał, ani pochwały, ani zachęty.

Flisaki drwili z niego co wiosny.

— Głupi drwał nędzarki!—nazywali go.

A szydził najgorzej mądry majster, co sortował kłody i w tratwy je zbijał. Rozumny to był i rachunkowy człowiek, kupcy go nawet szanowali.

— Wiesz ty, drwalu, dla kogo ty pracujesz? Dla lichwiarzy, co twą panią osaczyli. Dla nich drzewo walisz, dla nich karczujesz, dla nich się mordujesz. Ona już dawno bankrutka i zapłaty od niej mieć nie będziesz. Jej obietnice—puste słowa, jej dobra — oszustwo! Patrzysz na mnie, jak wściekły—no, zaprzecz mi, powiedz, co ci dała?

A drwał milczał, zęby zaciskając. Zaprzeczyć nie mógł, ale nienawidził tego człowieka i duszę przed nim zamykał, i myśli swe chował, by ich ten rozumny nie oplwał!

Stał się skryty i ponury. Już nikogo o swą panią nie pytał, imienia jej nie wspominał.

Aż kiedyś zauważył ze zgrozą, że na karczunkach jego poczyna znowu las porastać, gąszcz nieprzebyta znowu wstawać z ziemi, głuścić rolę wydartą. Więc znowu będzie puszcza, gdzie on ją zwałił kosztem całego żywota, więc śladu jego mozołu nie będzie. Darmo robił — nic nie wziął i nic dla swej pani nie uczynił.

A miał przecie całą puszcze zwalić!

Wtedy poczuł, że jest stary, słaby, zmęczony i, usiadłszy na ojcowskiej mogile, zamarzył o śmierci.

Ledwie się tego wieczora zawlókł do budy, już mu nawet topór ciężał, niemoc ogarniała kości.

A nazajutrz nie wstał z pośłania—wszystką już moc wyczerpał.

Leżał samotny, ognisko tlało—na dworze wiatr liście opędzał, i tłukły się o szyby.

Drwał zasnął może—a może to i jawa była.

Cicho się drzwi otwarły — i weszła jego pani.

Drwał się z posłania poderwał i, niepomny, żadnej męki, żadnej troski, do kolan jej przypadł, kraj wdowiej szaty całując.

— O pani moja. Wspomniałaś mnie!— wyjąkał.

— Pamiętałam o tobie przez wszystkie dni twego żywota.

— A jam ci służył, jakem rzekł, ale robota moja jako mrówki i robaczka—bez śladu.

— Aleś miłujący ją pełnił?

— Miłujący, pani moja, miłujący. Pomimo ludzkie mowy i pomimo zapłaty. Topór się stepił, moc mnie uszła — jam ciebie czekał, miłujący.

— O to jest — z nagrodą.

Poczęło mu serce bić i radować się, bo jakoś jasno, jasno — i lekko było w duszy.

— Cóż chcesz odemnie za robotę swoją? ona go pyta.

— Chciałbym wiedzieć, ile ona warta dla was. Może nic.

— To wyjdźże!

I wyszli. Ale jakoś świat był inny. Zamiast puszczy, pola falowały zbożem złotem,

wśród nich stały piękne domy, śmieli się ludzie weseli, świeciły kościoły i miasta, słysząc było pieśni radosne.

Drwał patrzył, patrzył, i szedł radosny za panią swoją, a kto go spotkał, pozdrawiał i pokazywał go innym.

— Patrz! To ten, co karczował. To ten, co pnie walił! To ten, co sławy nie chciał, i chwałę wziął! Patrz!

Dusza drwała rosła i uspakajała się, jak wielkie morze.

— Zkąd oni mnie znają, pani? — spytał.

— Ja im o tobie mówiłam! Chodźże teraz na obrachunek.

I byli znowu w budzie na rubieży, kędy dogasało ognisko i błyszczała w kącie spracowana siekiera.

Niewiasta dobyła z szaty złotą obręcz, a on patrząc na nią, nieśmiało spytał:

— O pani! Królowanie mi przynosisz — a gdzież szczęście, coś mi obiecała? Wyglądałem go całe życie na próżno.

— Jużes na progu. Zaraz je dostaniesz.

Drwał popatrzył w oblicze jej — zamyślił się.

— Aha. Toć jest! — rzekł, i zrozumiał już wszystko.

I już był za progiem, bo począł się jasno radośnie uśmiechać, a niewiasta skinęła mu głową i usiadła u ogniska...

Musiła nazajutrz osadzić na swej rubieży nowego drwala. Ten pracy dokonał...

ZACHÓD

Na Zwiastowanie rozstały się bydlaki z oborą, a mały Nazar z chatą.

Bydłał było siedmioro, chudych, obszerzeniałych, chwiejących się na nogach po złem pozimowaniu.

Nazar kończył dwanaście lat, wyglądał na osiem. I on był źle wyzimowany, chudy, kołtunowaty; z twarzą bezmyślną, barwy brudnego wosku od dymu kurnej chaty i nieustannej febry, nigdy nie leczonej.

Ziemia jeszcze była bezbarwną i nagą, z rzeki ledwie kry spływały, ale pasza się skończyła, więc bydło musiało iść na „zachody“, ratować się własnym przemysłem od śmierci głodowej.

Musiał też iść Nazar rozpoczynać od pastuszenia swój żywot chłopski.

W sobotę rano matka mu upiekła chleba na miesiąc, ojciec i bracia udzielili nauk praktycznych i upletli postolów dwie pary.

On tymczasem ze swą twarzą obrzękłą i apatyczną słuchał, słowa nie wtrącając, i bat sobie długi uplatał z „klaską“ włosienną u końca.

W niedzielę spędzono było nad rzekę — opierało się iść w wodę, więc je gwałtem zepchnięto ze stromego brzegu na głębie. Zwierzęta spadały z krótkim rykiem, ryjąc rzekę w wielkie bruzdy swemi cielskami i chwilę ginęły pod wodą. Ale wnet wychyliły się jedne błyszczące nozdrza i łeb starej Bedrychy, przodownicy stada, za tym inne — do jednego wszystkie. Siedem ruchomych punktów wybiło się nad fale i posuwało się w jednym kierunku, nawyknieniem corocznem wiedzione — ukośnie z prądem.

Za niemi łódka się odczepiła i pobiegła. Na łódce dwóch braci dorosłych z wiosłami, w środku Nazar przy zapasach i statkach. Od brzegu reszta się przyglądała płynącej chudobie. Mówiono o niej, chłopaka nie wspominano nawet, jakby miał jutro powrócić.

Rzeka rozlana była na wiorstę, mętna, tocząca resztki kry i śmiecie, na widnokręgu majaczały bezlistne olszyny.

Oczy bydła i ludzi patrzyły tam, jak na kres daleki. W połowie przeprawy jeden cie-

lak tonąć zaczął, musiano go wiosłami podpie-
rać, u brzegu zagrzęzło sztuk parę. Ludzie
weszli po pas w wodę lodowatą, wyciągali by-
dłęta postronkami — na kępę. Stały wreszcie
wszystkie na lądzie, drżące, smagane wichrem
i deszczem.

Nazar bat rozwinął, krzyknął i popędził
je nagim wygonem, nad drugie ramię rzeczne.

Czołno obeszło wodą i znowu po małym
wytechnieniu zwierzęta wpółżywe zepchnięto na
prąd.

Tym razem cielak poszedł pod wodę —
złowiono go na pętlę i ciągnięto za czołnem —
na brzegu jednak nie dawał znaku życia — po-
rzucono go z wyciągniętymi sztywnie nogami,
odrzuconą głową, wzdętego od mnóstwa poł-
kniętej wody.

Teraz znajdowano się u kresu. Był to
punkt lądu, wysepka nie większa nad morge,
porosła gęsto olszyną, łożą, kaliną i leszczyno-
wemi krzakami. Wkoło niezmierzoność płaska
wód wiosennych bez żadnego dla oka spoczyn-
ku. Nic, tylko tafla zielono-sina, szumiąca dzi-
ko, po której, jak grzyby bezkształtne, maja-
czyły wierzchy stogów starego siana.

Bydło po chwili zaczęło ogryzać suche, zeszlóroczne badyle szuwarów i tataraku, ludzie krzatali się żywo. Wśród dwóch olszyn odnaleziono resztki szałas pastuszego. Chłop buduje byle z czego i prędko, jak bóbr; wnet jeden kołki u góry łożą związał, chrustem pokrył, drugi tę osnowę mokrą ziemią osypał, na wierzchu darniną umocował, wejście mata z rogoży osłonił — i było gotowe letnie mieszkanie Nazara. Do środka wniesiono chleby, trochę zmokłej słomy na posłanie i wnet przed tą budą rozłożono ognisko, które miało nie gasnąć przez całe lato.

Potem ludzie zapalili fajki, i poglądając po tem morzu, prorokowali jaka będzie wiosna. Wreszcie, ponieważ deszcz się wzmógł, zabrali się z powrotem do łodzi.

Starszy Nazarowi resztę instrukcyi udzielał.

— Nie kwap się z chlebem, bo nie wiem, czy do nowego więcej dostaniesz. Łyka nadrzyj dosyć na postoly i chudoby dobrze patrz. Ano — skórę z „krasego“ zdejmij i wysusz na wietrze. Nu — ostawaj zdrów.

— Jedźcie szczęśliwie.

Tak się rozstali i dzieciak ten nędzny został na Opatrzności Bożej, sam jeden, na

„zachodzie“ ojcowskim, na długie samotne miesiące. Od rozpaczy, buntów, strachu i płaczu broniła go bezmyślność i apatya.

Pierwszą jego czynnością było zdjęcie skóry z cielaka.

Nożyk miał na rzemyku u pasa, dobył go i przykucnąwszy nad bydlęciem, ciął go na piersi w krzyż.

Ale wtem cielak drgnął, na cięcie wystąpiła krew. Nazar rękę mu w gardło wtłoczył i zaśmiał się głupowato. Skostniały był „krasy“ ale żywy. Chłopak ściągnął kożuszek i okrył nieboraka. Na wietrze i deszczu pozostał w koszuli tylko, obojętny na chłód i wilgoć, otulając to bydle ukochane.

Po godzinie cielak dźwigał się na nogi. Od tej chwili Nazar pokochał go w dwójnasób. Potem nic już nie miał do czynienia, tylko ogień utrzymywać i w dal na to morze wód wyglądać.

Bydło nie wymagało żadnej troskliwości. Ogryzłszy badyle szuwarów, wzięło się do łoży i olszyny, zaszyło się w gąszcz od chłodu i tam większą część czasu stojąc skulone, oczekiwało od przyrody pożywienia lub śmierci.

I Nazar był głodny. Wymiona Bedrychy, która go żywić miała, niedostatek karmu wysuszył, ptaki jeszcze nie posłały gniazd, ryba się rozpierzchła, został tylko chleb, pleśniejący od wilgotnej ziemi, pięć wielkich bochnów, które miały wystarczyć do nowego i trochę przygniłych kartofli.

Z tem sobie Nazar radził, jak umiał. Jadł ten chleb z solą i bez, rozmoczony w wodzie i suchy, wyczekując z równą jego bydlu cierpliwością, że go lato odkarmi.

Pominąwszy głód, żywot miał lekki. Sypiał dużo pod kożuchem, potem siadywał przy ogniu, patrząc po niebie i ziemi. Przez dzień febra go trzęsła, wtedy z budy nie wychodził i nie warzył zupy z chleba; męczyła go ta bieda, ale jej zawdzięczał swe próżniacze położenie. Gdyby zdrów był, zatrzymanoby go w domu do cięższej roboty.

Siedząc beczynn timerwował ptaki. Leciwały one wszystkie nad temi wodami, kluczami, pasmami lub kupą. Zmęczone były, chude, odzywające się żałością. Leciwały przodem gęsi dzikie i bociany, smukłe żórawie i ciężkie drogie, a potem drobniejsza drużyna, cyranki i czaj-

ki, kurki, bekasy, słonki i jeszcze inne ćmy ptasze. Nazar ciął każdy oczami po niebie prowadził, krzyków słuchał, rachował.

„Zachód“ jego, najwyżej wzniesiony, służył często ptakom za miejsce na nocleg. Okrywały go czasem siwe gęsi, a olchy pokrywały się chmurą wędrowników. Wtedy noc była pełna szelestów, nawoływań, ćwierkań, a chłopak w budzie czuł się niby wśród wielkiej bratniej kompanii.

Po paru tygodniach poczęły wody zbiegać, rozdzielać się na tysiąc ramion, ukazały się na morzu lądy płaskie, zielone lub wyższe, czarne od krzaków i zarośli drzewnych. Wysepka Nazara uczyniła się wyspą, której szczyt koronowały olszyny, a między dwie wodne drogi, „proście“, wiosną tylko dla czółna dostępne, wcisnął się cypel niskiego pastwiska, które w mgnieniu oka, przez noc jedną ciepłą okryło się zielenią.

Buda pastusza na nie zwrócona była, mógł Nazar, leżąc u ognia pilnować bydła, które brodząc po grzbiety, chciwie łowiło pędy „czarnoholowu“ i „pławuszki.“

Ale on tam rzadko patrzył. Zajmowała go druga strona „zachodu.“ Gąszcz tam do-

tykał wody, gęstniał z dniem każdym, zbiegał aż do rzeki kępami kaliny, łóz, złotawemi kitami pokrytych i zlewał się z nurtem, gęstwiną sitowia i tataraku. Zda się, zielen kapiała aż w nurt, ciekła po wodzie liśćmi białych i złotych grzybieni, które, prądem muskane wyciągały długie łodygi, aż naprzeciw, gdzie ku nim wybiegały znowu tataraki i osypywały kwietnem złotem kwitnące łoziny.

Rzeka tutaj tworzyła zatoczkę, czarną od olszyn, rozdzielającą dwa „zachody.“

Nad zatoczką tą upływało lato Nazarowi. Zdzcizwały, nakształt błotnego ptaka, lubił ten cień i zacisze, lubiły je i ptaki. Co wieczór na wody te spadały z pluskiem. Zachodnie słońce wciskało się ukośnie w tę kryjówkę, a skrzydła ptasze rozbijały toń purpurową, rozbryzgiwały tę purpurę w kaskady.

Wtedy rozpoczynał się ogłuszający koncert, trwał noc całą, ogarniał daleko ciszę łąk, płynął po wodach, drżał w ciepłym powietrzu.

Nazar mało sypiał wtedy. Gwar ten go budził, męczyły komary, dokuczało gorąco w budzie. Krótka noc mijała prędko, a ledwie świt, zrywał się, szedł nad zatoczkę.

Po krzakach jak kot się ślizgał, upatrując gniazd, na ryby przynęty stawiał, w skwar południowy kąpał się i w jamach nadbrzeżnych brał raki.

Teraz zbytek miał jadła. Jaja pstre i sine bił na jajecznicę, piekł drobne rybki na żarze, gotował raki. Nie dbał o przednowek.

Tylko febra go nie odstępowała. Ciało jego, gdy się kąpał nagi, na tle wody zielonej od drzew nad nią rosnących, miało pozór topielca. Chudy był strasznie, siły nie miał żadnej, tylko zwinność i podstępność zwierza.

Dnie mijały, nie przynosząc żadnej rozmaitości. Nazar przestał zupełnie głos wydawać, nawet na bydło swe nie wołał, przed łodzią, ujrzaną zdala, krył się w zarośla, zapomniał rachuby czasu. Wzrok mu się zaostrzył, słuch nabrał nadzwyczajnej wrażliwości, ruchy przypominały czającego się drapieżnika. Przez większą część dnia, półnagi, z twarzą swą obrzękłą i dziką, z gęstwiną powichrzonych włosów na wielkiej głowie, był straszny.

Pewnego południa wychylił się tak z gąszcza, uczeplony jedną ręką odrośli wierzbowej, drugą z prętem zakrzywionym wyciągał nad

wodę, starając się uchwycić i do siebie przyciągnąć kité szuwaru, na którym uczepione wisiało drobne gniazdeczko.

Podobny był w tej pozie do olbrzymiego pajaka lub nietoperza.

Chwilę wisiał nad wodą, nagle odrośl puściła, rozległ się plusk i głucho stęknęcie. Naprzeciw z drugiego brzegu ozwał się śmiech szydery.

Nazar wybił się na wierzch i kilku uderzeniami rąk odpłynął z głębi. Tedy do pół ciała w wodzie, szlamem okryty, spojrzął bojaźliwie w kierunku owego chichotu. Tam na leżącym pniu wierzbowym siedziało dziecko, dziewczynka może ośmioletnia i patrzała ku niemu.

Skrzywienie śmieszne przeszło po twarzy pastuszka, oczy jego szpetne, małe, zabłyśły.

— Ty znówu tutaj? — zawołał.

— Ale.

— Dopiero przyszła?

— Nie, dawno. No, grzązko było w tej stronie, bałam się chodzić.

— Dużo bydlą u ciebie?

— Piętnaścioro.

— Wszystko wasze?

— Ale.

— Budę masz.

— A jakże. I chleb i słoninę i kartofle.

Chłopak umilkł przygnębiony bogactwem sąsiadki. Więcej też nic nie miał do pytania, więc zaprzestał rozmowy i usiadłszy na brzegu po swojemu bezmyślnie w wodę się zapatrzył. Dawał słońcu wysuszyć bieliznę na ciele. Potem wzrok i myśl skierował ku temu gniazdu niedostępnemu, na dwóch badyłach szuwarów wiszącemu, jak torebka misternie z traw i porostów utkana.

Naprzeciw niego dziewczynka śpiewać poczęła, cienkim, przekrzyczanym głosem:

Za borem, za borem krasny znak zasieli

Nie będą że długo chłopaka widzieli.

Śpiew ten spłoszył ptactwo, przeraził ciszę tego odludzia. Przytuliło się wszystko do gąszczu i przez chwilę ucichło.

Malutka kurka wodna, która na liściu grzybienia założyła gniazdo, odbiegła do brzegu po pasmach mięty, po wodnych porostach, a na tym liściu wodą poruszonym — narodził wiatru,

zabłysła garstka drobnych jajeczek, bez żadnej osłony ni straży.

— Nazar! — zawołała dziewczynka — zabierz gniazdo.

— Aha, nie wolno! — odparł — wtedy mnie febra całkiem zje.

Tylko temu zabobonowi zawdzięczała ptaszyna istnienie.

Po chwili ptactwo oswoiło się ze śpiewem. Z kęp u wnijsćia zatoczki wychyliły swe szarobrunatne głowy cyranki, siedzące na jajach, czajka karmiąca już małe, rozpoczęła swoje nadlatywanie z jadłem, nawet w gąszczu grzązkim od strony dziewczyny rozległ się nosowy, głęboki brzmiący donośnie głos bąka, najdzikszy z ptaków. Nazar głos ten starał się zanaśladować.

— Widziała ty jego, gdzie siedzi?—spytał małej.

— Nie, tam grzązko, boję się, zadziobie!

— Głupia ty! — burknął z pogardą.

Potem na chmielach się wyciągnął i zasnął, obojętny na komary, co go cięły, chmurą zasypując, na wznak, wprost słońca, które, przebiwszy cień olch, stało w samej pełni, olśniewającym blaskiem żrąc mu przymknięte powieki.

Od tego dnia towarzysze całoletniego wygnania spotykali się nad zatoczką.

Wnet też różnice gustów ich płci okazały się wybitnie.

Dziewczyna lubiła śpiewać i śmiać się. Jasno-niebieskie jej oczy patrzyły roztropnie, często drwiąco. Włosięta swe nosiła gładko przyczesane i splecione w malutki warkoczyk, bielizna jej była czysta, spódniczyna do kolan podniesiona, żeby się nie uwalać, na nogach zawsze postęły. Widać było troszczenie się o swą powierzchowność, umiłowanie barw jaskrawych i błyskotek.

Na niedzielę nakładała wyszywaną własnoręcznie koszulinę, miała wtedy na szyi pasek drobnym paciorków, u koszuli spinę z kolorowego szkła, przy warkoczach czerwoną tasiemkę, na głowie czerwoną chustkę. Jednem słowem zdradzała materyał na przyszłą wioskową zalotnicę i elegantkę.

W tym stroju pokazywała się Nazarowi, przybierając ruchy i miny dorosłych dziewczek. Była przytem spokojna i pracowita.

Ptaki na jej brzegu niosły się spokojnie, gniazda jej nie bawiły. Siadywała nad wodą,

przyglądając się sobie, lub ze swawoli bijąc prętem po fali. Dla rozrywki plotła wianki i nosiła je, lub puszczała z wodą.

Czasami przychodziła na brzeg z miną poważną, z węzełkiem na plecach. Zdejmowała wtedy postoly, podnosiła wyżej spódniczkę, zakasywała rękawy po ramiona. Z miną też poważną wchodziła do wody i prała bieliznę, obyczajem kobiet dorosłych każdą sztukę objając o nogi, wyżymając gestem zręcznym, naprzód podana, wyciągając ramiona swe drobne i chude, cała w świetle drżącym; ruchomem, słońca sianego przez czuby olszyny.

Potem rozwieszała bieliznę na krzakach, zawsze ważnością swej pracy bardzo przejęta. Naprzeciw Nazar się jej przyglądał, zwykle milczący.

Ten był również miniaturowym wydaniem dorosłego parobczaka.

Przemyślny i chytry, złośliwy w myśli, apatyczny w czynie, napozór obojętny, kochający się w brudzie i niezależności. Szpetny, złem odżywianiem się w rozwoju fizycznym powstrzymany, umysłowo mało co więcej rozwinięty niż zwierzę, miał już wszystkie instyn-

kty dorosłego parobka, przytem nad wiek dojrzłą praktyczność i rozsądek.

Gdy dziewczynka, ustrojona na niedzielę, pyszniła się przed nim, miał ochotę błotem ją obrzucić, zwałać i wydrwić, jak to czynił w wiosce swej na ulicy.

Ale zatoka była głęboka, i nimby dopłynął, dziewczynaby gdzieś w gąszcze uciekła. Gdy prała swe koszuliny, on na przeciwnym brzegu przypatrywał się poważny z ręką wspartą o bok i żdźbłem w zębach, spluwając od czasu do czasu lub gwizdząc.

Tak przyglądali się parobcy dziewczętom, do których myśleli swaty ślać.

Czasami się odzywał:

— Ohapa, wzięłby ja ciebie za żonkę.

A ona odwracała się z chichotem, pięścią zatykając usta.

— Aha, u was pola mało, tatusio mnie nie da!

— Ot, ma co chować, taką chuderławą!

— A ty co! Gęsia cholera!—odcinała prędko.

— Ty chuderlaku! Masz!

Zgrabnie rzucony kawał gałęzi z gwizdem uderzał ją po nogach. Dziewczyna uciekała

z krzykiem, i potem przez dni kilka nie odzywali się wcale.

Wtedy Nazar popisывał się przed nią. Z siekierą uwijał się po gąszczu, wielkie polana nosząc sobie na ognisko; ze zwinnością wiewiórki drapał się na czuby olszyn, pływał i nurkował. Uraza dziewczyny topniała wobec bohaterstwa, wydawała ona okrzyki przestachu i podziwu, wreszcie powracały znowu przyjaźne stosunki sąsiedzkie. Znowu Ohapa prała chusty, bijąc szare płótno o swe chude nogi, znowu naprzeciw wyrostek o twarzy złośliwej małpy ku niej zerkał, odzierając łozinę z kory i białe te pasma skręcając w pęczki symetryczne na postoły. A oba ich obrazy odbijała w sobie woda zielona z dnem torfiastem, zdradliwym, i przyglądały się im młode, tegoroczne ptaszki, próbujące swych skrzydeł i siły.

Aż pewnego dnia Ohapa nie przyszła nad zatoczkę. Nazar zdziwił się, wyczekiwał, nasłuchiwał dzień cały daremnie.

— Szelma! — pomyślał — musieli jej z domu jadała podwieźć, to się opycha!

Splunął i odszedł. Ścieżynę już był sobie w gąszczu przetań ciągnął wędrówką, szczelinę

taką, jaką zwierz sobie do źródła znaczy. Powrócił nią do budy wieczorem, osowiwały.

Tej nocy jakiś strach go dusił. Sowa usiadła na olszynie i jęczała, a bąk nieswoim głosem chrapał i coś chodziło w gąszczu, coś świeciło. Chłopak kożuchem się nakrywał, ogień palił, i zębami szczekając, czekał ranka.

Skoro świt zerwał się i pobiegł do zatoczki. Cekał godzinę, dwie, zaczął wołać:

— Ohapa! Ohapa! Bywaj!

— Bywaj!—odpowiedziało echo po wodzie.

Zresztą nikt nie odhukiwał, nikt nie przychodził, tylko, strwożony krzykiem zapewne, zerwał się od brzegu wysepki dziewczyny ptak wielki i zakołowawszy, opadł z Nazara strony w gąszcz oczeretów i łozy, kędy topiel i trzęsawisko było.

Ptak ten oderwał myśl chłopca od Ohapy. Był to bąk samotnik, którego on dotąd nigdy z bliska nie widział, ani gniazda jego nie znał. Może on tam małe ma na kępie w oczeretach?

Nazar postanowił tam dotrzeć.

Spojrzał raz jeszcze na brzeg przeciwny, gdzie bielą po krzakach susząca się bielizna dziewczyny, i odszedł milczkiem, by bąka nie spłoszyć.

Zaraz też do dzieła przystąpił. Rozebrał się do naga, wziął z sobą sznur z łyka i długą, gładką tyczkę, i ślizgając się jak wąż, zagłębił się w trzęsawisko.

Na brzuchu pełznął, rękami chwytając się kęp szuwarów, popychając się nogami; zostawiał za sobą czarną bruzdę szlamu, pod nim topiel cała się ugiwała. Chwilami odpoczywał, tyczkę podkładając pod ramiona i znowu pełznął, tamując oddech, podobny do potwornego czarnego robaka.

I nagle znieruchomiał, wpatrzony w jeden punkt, ze źrenicami rozszerzonymi zgrozą.

Było to ujście zatoczki. O dwa kroki od niego woda już topiel pokrywała, posunąć się dalej było niepodobieństwem. Leżał na pomoście z przegniłych oczeretów, a młode ich pędy okrywały go z góry.

Tuż obok niego, na kępce stał ptak wielki, szaro-żółty, nastroszony, z głową wtuloną w pierze, z obwisłemi skrzydłami, i złośliwemi oczyma wpatrywał się także w ten punkt, kędy i Nazar patrzył, od zgrozy oniemiały, sztywny.

Z wody czarnej z pośród liści grzybienia wyzierała głowa ludzka nieruchoma, straszna,

a dokoła niej dawały się słyszeć szmery, pluskania, ruch w topieli.

Głowa była zielono-czarna, z usty rozwartemi, obrzmiała potwornie i patrzała ku nim szklanemi oczyma.

— Ohapa! — wyszeptał wreszcie Nazar.

Ryba plusnęła przy topielcu, i wypelźł z głębiny lśniący swą połyskliwą czarnością rak, wpijając się w zdobycz.

— Boże! — głośniejszym głosem wymówił chłopak.

Bąk się spłoszył, leniwie skrzydła podniósł i odleciał o kroków kilka bliżej topielicy. Dziób w szlam zanurzył, nadął się i zabączał przeciągle, wyrzucając nozdrzami błoto.

Raptem na ten głos ponury Nazara trwoga opadła; zaczął się cofać nieprzytomny, z sercem bijącym, już nie szukając gniazda, ani strzegąc się szmeru. Uciekał, wpijając się palcami w kępy, ocierając do krwi ciało o korzenie, a za nim, zda się goniła ta towarzyszka doli pastuszej, wołając ratunku.

Dopiero przy bydle swem Nazar oprzytomniał. Siadł i zapłakał gorzko.

— Dolo moja nieszczęśliwa! — jękał — co ja teraz zrobię. — Na zgubę mnie zostawili, na

przepadłe. Trup ze mnie tylko, a oni całkiem zapomnieli, porzucili. Było lepiej nie rodzić się! Umrę ze strachu, umrę!

Bedrycha stara podniosła łeb z trawy i spojrzała ku niemu, zdziwiona hałasem, cielak pstrokaty, faworyt, przyszedł do niego i obwąchiwał ręce, szukając chleba.

Chłopak poczuł się mniej samotnym.

Zaczął wypadek sobie przedstawiać. Dziewczyna weszła głębiej, szukając zapewne wody świeższej do płukania szmat, trafiła na jamę szlamu pełną, pułapkę rzeczną, kędy ta woda zdradliwa ofiary swe wciąga, z nóg wali, ssie w głąb bezdenną, a potem wyrzuca znów na powierzchnię.

Dziewczynina tak zginęła bez krzyku i obrony. Woda się tylko nad nią w koła coraz większe rozbiegła — i już było po niej

Została tylko w pamięci Nazara. Nad zatoczkę przestał chodzić i raków nie łowił, zdjęty obrzydzeniem; nie znosił hukania bąka i dni całe spędzał przy bydle, do swawoli, kąpieli, gwizdania straciwszy ochotę.

We dnie spokojny był, ale w nocy strach go męczył. Krzaki czarne przybierały kształty

dziwaczne, liście coś gadały, łoży się ruszały, a na ścieżce ruchomej, która od miesiąca po wodzie ku niemu szła, widywał Ohapę, jak żywą, tylko zielono-srebrną i przejrzystą, jak się ruszała, płótno rozsuwając i tańcząc po niem.

W mecie tej, potem zimnym okryty, Nazar do Bedrychy się przytulał, u boku jej skulony, drżący i tam wreszcie zasypiał, ciepłem bydlęcia w połowie ogrzany, w połowie mokry i skostniały od rosy.

Zwierzę, przeżuwając, spoglądało czasem ku niemu, czasem polizało go po głowie szorstkim językiem, wokoło chóry ptasze grały.

Znowu bywał głodny Nazar, bo chleb się skończył, a pamięć czasu stracił i tylko po trawach i wodzie rachował, kiedy przecie o nim w chacie sobie przypomną.

Nadchodziła ta pora. Zdawa widywał ludzi po sianożęciach, słyszał dalekie kos po-brzęki, a trawy kwitły i miodowe wonie szły mu w nozdrza, a słońce smało ogniem. Gniazda opustoszały; cały „zachód“ zcichł i bardziej się jeszcze przed okiem ludzkim ukrył w kitach wybujających oczeretów.

Stało wszystko w pełni letniego rozwoju!

Bydło Nazara miało sierć lśniąca i boki gładkie, spasio się na pokaz, podskoczyły w górę olszyny i kalina, trawa była po pas. Tylko pastuszek był jednakowo nędzny i drobny z skręconemi w kołtun włosami, odarty, zczerniały od febry, upału, wichru.

Na widok kosarzy za rzeką, przypadał do ziemi—drżał na głos ludzki, bał się odezwać.

Brat, co doń przybył nareszcie, wioząc na malutkiej łódce chleb, sól, kaszę i koszulę, długo hukał i czekał, aż się chłopak ośmielił, poznał go i wypełznął z gąszczu. Potem zaraz do chleba się rzucił, pożerając z łapczywością zwierzęcia, o nic nie pytał, ani odpowiadał.

Brat bydło obejrzał i wrócił.

— O! kraszy żyje?—rzekł radośnie.

Nazar głową kiwnął.

Chłop fajkę zapalił, i po łąkach zastygłe swe oczy wodząc, zamruczał:

— Pora kosić już.

Godzinę zabawił i obadwa milczeli.

Wreszcie Nazar się odezwał:

— Ohapasię utopiła, tam!—palcem wskazał.

— Aaa... ze wszystkim się utopiła?

— Ale, raki zjadły.

— Nu, a któż tam ich bydła pilnuje?

— A kto? Nikt.

— Trzeba powiedzieć, żeby kogo przysłali.

Wstał, popiół z fajki wytrząsł i do łódki się skierował.

Nazar usta otworzył, ale tylko stęknął i patrzył nieporuszony za odjeżdżającym.

W garści chleb trzymał i cicho poczęły mu na ten chleb łzy padać.

Na łodzi chłop stanął i zepchnął ją na czarną wodę. Zrazu cały był widoczny, silny, czysto odziany, w czerwonym pasie, z karkiem i ramiony potężnymi. Pochylał się miarowo za wiosłem i znikał powoli. Wśród szarych kiści oczeretów mignęła kilka razy jego głowa, osłonięta kresami kapelusza, dłoń potężna i wreszcie zniknął zupełnie.

Wtedy Nazar począł znowu swój chleb od łez mokry żuć powoli i rachować, za ile czasu i on ztąd wróci do domu. Długo jeszcze było, długo!...

N O C

Była wielka cisza. Na niebie zapadło już słońce i powoli jedna po drugiej poczynąły mrugać gwiazdy—na ziemi ustała praca i nisko też mrugały ogniska chat.

Długi był dzień majowy, dla słońca, dla pola, dla człowieka.

Teraz znój ziemi występował rosą, znój nieba gwiazdami, znój ludzki — pieśnią spoczynku. Rzeka wieś przecinała, i tylko ta woda nigdy niestrudzona bujała, gadała, żyła. W toń jej wpadała łuna ogniska chaty ostatniej, i krwawą plamą się stała, a z chaty pieśń wybiegała, mącąc ciszę.

Tam w izbie odpoczywało ludzi czworo.

Gospodarz, wpół leżąc, kopał fajkę; gospodyni obierała kartofle; pod oknem parobek młody na skrzypkach wtórował pieśni.

Śpiewała kobieta młoda, stojąc u ognia, z rękoma założonemi na tył głowy, przegięta zalotnie, zapatrzona w parobka.

Nie dziewczyną już była. Włosy jej obcięte kryła jaskrawa chustka, strój nosiła mężatek, na piersi nie miała już paciorek. Młoda była i osobliwie przystojna. Czarnooka, smagława, słuszną i gibką, miała coś dzikiego w ruchach, szalonego w oczach. Śpiewała już długo, wciąż w tej postawie bezczynnej, drażniąc parobka zagadkowym uśmiechem, żarem spojrzeń i purpurą ust.

Gdy ogień dogasał, gospodyni dorzucała trochę smolnych szczap, i w przechodzie głaśniała pieśzczotliwie kobietę.

Wreszcie parobek smyczek opuścił, śpiewająca umilkła. Zrobiło się nagle w chacie pusto i straszno.

— Śpiewaj jeszcze, doniu! — odezwała się stara.

— Już reszta! — odparła, przeciągając się leniwie.

— Ale, reszta! — zaśmiał się parobek — jeszcze wesela nie śpiewałaś.

— Wesela! — odparła, ramiona pogardliwie wznosząc. — I tobie już wesele odśpiewali i mnie!

Spuściła głowę, nagle postarzała, ponura.

— To co?—rzucił wyzywająco.—Śpiewali nam poosobno, zaśpiewajmy sobie razem.

— Oj, ty hultaju — śmiejąc się grubo, upominała matka.—A do żonki ci nie pora!

— Oj, nie uciekniesz—rzekł lekceważąco.—Nu, Marynka—śpiewaj!

Zaśmiała się dziwnie, gorzko i swawolnie zarazem, i odrzucając głowę, że aż się chustka osunęła na kark, zaczęła pieśń weselną a nie wesołą wcale. Parobek wtórował:

Oj! nie było ci chodzić nad rzekę, po wodę,
Nie było ci czekać miesiąca wschodu,
Miesiąca chłodnego.

Nie było słuchać słowiczka z za gaju,
Nie brać upominków, co chłopiec daje,
Ni iść do niego.

Bo te upominki od woli cię odwiodą
Ze wsi swej i chaty — do świekry zawiodą
Do chleba cudzego!

W tej chwili drzwi chaty rozwarły się szybko i rozległo się zwykłe powitanie:

— Pochwalony!

Nagle pieśń się urwała. Kobieta spojrzała na wchodzącego i cofnęła się o krok, zbladła. Parobek powstał i mimowolnie wziął za wiosło w kącie stojące, stara z okrzykiem plasnęła rękoma.

Tylko gospodarz nie okazał żadnego wrażenia; ku przybyłemu głową skinął i odparł:

— Na wieki wieków!

Gość wszedł i drzwi zawarł.

Młody, tęgi, barczysty, o twarzy spokojnej i smutnej, był ubrany z dworska, w surdut siwy z zielonemi wypustkami, czapkę z blachą leśnej straży i długie buty.

Przez ramię miał torbę borsuczą i strzelbę, którą zaraz zdjął i w kącie postawił.

Potem do młodej kobiety się zwrócił.

— Dobry wieczór, Marynko! — rzekł, usiłując się uśmiechnąć.

— Dobry wieczór, Jakóbie — odparła obojętnie.

— I wam, ojcowie, dobry wieczór, i tobie Macieju. Cóż, spokojnie u was?

— Ano jednakowo! — odparł stary — a u ciebie, synku?

— I u mnie jednakowo! — odparł, głową kiwając.

— Głodnyś może?—spytała stara.

— Nie. Zmęczyłem się. Kawał drogi. Spocznę trochę.

Otarł rękawem pot z czoła. Dziwne to było zmęczenie, bo biały był, jak płótno, a wargi miał sine.

Usiadł na ławie i westchnął.

— Może ci wódki dać! — zaśmiał się Maciej.—Z oczu ci patrzy, jakbyś upiora spotkał.

— Gorsze są strachy, niż upiory. Za wódkę dziękuję, odrzekłem się zaraz po weselu.

Milczenie ciężkie zapanowało w izbie.

Gość je przerwał, w okno patrząc:

— Noc to — noc kochana! Ni szumu, ni ruchu, a ciepłość wskrós serce obejmuje. Będzie nam lubo wracać.

— Nie zanocujesz?—spytał stary.

— Ej, doma mi pilno! Służba, nie drużba! Godzinę zabawię, do miesiąca wschodu.—Wstał, do młodej kobiety się zbliżył, usiadł obok niej na zydlu, i za rękę ją ujął.

— Pieśni śpiewałaś, jakim szedł — rzekł miękko—zaśpiewajże i mnie!

Dała się głaskać i pieścić obojętna, zdrętwiała, wpatrzona ponuro w czarną noc za oknem. On na nią oczy wzniosł proszące, łagodne i długą chwilę się wpatrywał.

Naprzeciw Maciej ku nim spoglądał. Zrazu trochę niespokojny, zawistny, potem pewny siebie, zuchwały. Zapalił fajkę i uśmiechając się szyderczo, śpiewać począł:

U Marynki chata tuż przy moście,
Przyjechało trzech chłopaków w goście.
Jeden mówi: ja Marynkę lubię,
Drugi mówi: ja ją gwałtem wezmę,
Trzeci mówi: a jaż ją poślubię.
Oj! ten tylko do ślubu ze mną stanie,
Kto mi trójziele dostanie!

— Składne pieśni umiesz, Macieju!—przerwał Jakób—słuchać ciebie lubo.—Odchylił się od kobiety, jakby zmrożony jej obojętnością, na rękach głowę wsparł i zdawał się drzemać.

A Maciej, wciąż uśmiechnięty, dalej ciągnął.

Jedzie chłopak z za morza z trójzielem,
A Marynka z kościoła z weselem.
Zagrajcież mu skoczno, panie muzykancie,
Zagrajże Marynce z kościołem do tańca.
Zaszumiała smutno zielona dąbrowa,
Odleciała z karku Marynki głowa.
Takież tobie, zwodnico, wesele —
Nie posyłajże ty chłopaka po ziele!

— Tak i jest! — ozwał się nagle Jakób, wstając i prostując się. — Żonka mi pieśni śpiewać nie chciała, tobie za twoją dziękuję. W mojej chacie nigdy śpiewania nie słyhać, więc to mi nielada gody. U mnie wieczornica cicha, stara matka stęka, taj świerszcz w kącie za skrzypka, a wokół drzewa bas wiodą.

Zaśmiał się, pas na sobie poprawił, włosy z czoła odrzucił i za strzelbę wziął.

— Komu w drogę, temu czas. Zabieraj się, Marynka—rzekł, fajkę nabijając tytuniem.

— Zanocowałbyś! — raz jeszcze wtrąciła stara.

— Nie. W noc taką płynąć dobrze! Drogi szmat, ranek wczesny. Czas do domu.

Młoda kobieta powstała automatycznie, bez protestu jawnego, z zaciętym jednak uporem w oczach.

Milcząc, poczęła się do drogi ogarniać, szmaty zbierać. Matka jej pomagała drżącymi dłońmi. Maciej dobranoc rzekł i wyszedł.

Jakób, w ogień patrząc, czekał cierpliwie.

— Słuchaj synku! — odezwał się stary. — Ty rozumny człowiek. Nie karz jej srogo! Wiadomo, głupia.

Stara za rękę go ujęła.

— Jakóbku! pożałuj, nie bij! opamięta się! — prosiła, wznosząc ku niemu blade oczy.

On się po chacie obejrzał. Kobieta stała już do drogi gotowa, z płachtą szmat na rękę, przyglądała mu się więcej ciekawie, niż z bojaźnią.

— Daj, poniosę! — rzekł krótko.

Potem starym się skłonił i czapkę nasunął na oczy.

— Pochwalony!

— Na wieki wieków. Szczęśliwej wam drogi.

— Zostańcie zdrowi!

Drzwi skrzypnęły i ucichło wszędy.

Ścieżką ku rzece szło tych dwoje, nic do siebie nie mówiąc, kobieta przodem, mężczyzna za nią — nów księżycą czynił z nich czworo. Cienie szły także i zdawały się tych ludzi eskortą duchową, szepczącą coś do ucha.

Na ścieżce spotkali kilka dziewczek z wiadrami pełnemi.

Pozdrawiano się w przechodzie, ale skoro się minęli, rozlegały się chychoty i szepty.

— Widzicie, głupi Jakób po żonkę znowu przyjechał!

— Ale, cygańską krew chce oswoić. Cha, cha, cha!...

Człowiek słyszał te szepty. Spuścił głowę, poczerwieniał ze wstydu, pośmiewiskiem był. Nie rzekł jednak słowa.

Zeszli łąką do rzeki, która z cichym szelestem muskała łódź na brzeg wypchniętą, pełną suchego szuwaru. Na postanie to rzuciła się Marynka i ułożyła, jak do snu.

Jakób manatki jej podał, czółno na wodę spuścił i stanąwszy w końcu, jednym wiosłem i sterował, i pędził zarazem.

Odrazu odskoczyli na drugi brzeg, w cień niskich krzaków, i po chwili w zwrocie stracili z oczu wioskę. Byli sami, zupełnie sami w tej nocy majowej.

Strażnik zdjął strzelbę, torbę i surdut. Ciepłość owa, którą wspominał, że wskrós za serce bierze, ogarnęła go. Księżyc oświecał go w pełni, przez rzekę ścieląc szlak srebrny, w którym on ciągle łódkę utrzymywał, smutnemi oczyma zapatrzony w dal.

Wilgotny, surowy zapach wznosił się z toni; niekiedy trącona wiosłem mięta rzeczna rzuciła smugę woni ostrej; na rzece srebrno-błę-

kitnej, jak gwiazdy białe, połyskiwały grzybienie w rozkwicie i szare sitowia były jak chmurki małe na gładkiej, żywej tafli.

Po gajach nadbrzeżnych głużyły sobie wzajem słowiki, po łąkach błyskały ognie błędne, wznosiły się białe opary, a nigdzie śladu nie było człowieka.

Jakób wiosłował bez szelestu, jakby ciszy trącać nie chciał, ni płoszyć.

Sunęła łódź, jak widziadło, ledwie ślad chwilowo ryjąc; niepostrzeżenie ubiegała droga.

Kobieta leżała w cieniu, udawała sen.

Nagle chłop głos podniósł, pieszczotliwy, proszący, cichy:

— Marynko, posłuchasz ty mnie?

— Mów!—odparła głucho, wzruszając ramionami.

— Powiedz, co ja tobie zawinił?

— Nic, nie lubię ciebie!—burknęła.

— To tak. Stara matka prawdę mówiła. Weź, powiada, psa złęgo, i pieść go, i karm—pokocha ciebie; weź powiada, szulaka z gniazda i hoduj, i pilnuj — przystanie do ciebie. Ale człowieka nie bierz i nie hołub, bo to ni pies, ni szulak—ukąsi ciebie, zadziobie, albo ucieknie.

— Prawdę rzekła, nie było mnie brać!— burknęła.

Popatrzał na nią zdumiony.

— Jaż ciebie gwałtem nie brał. Zapomniałaś. Na kupalne ognie temu dwa lata, na onej polanie my się zeszli w czarnym lesie. Palili chłopcy ognie, dziewczęta pieśni stare śpiewały. Najwyżej ja przez żar skakał, najpiękniej ty śpiewała. Marynko, i co ja tobie za złe uczynił, że się rozmiłował, i z kąd ja wiedzieć mógł, że ty mnie lubić nie będziesz dłużej, niż przez oną noc? Bo ty mnie wtedy lubiła, niebogo! Pod owemi czarnemi dębami my świtania doczekali, za ręce się trzymając, taj pieszcząc. Zapomniała ty, zapomniał ja, oj na wieki. I co ja tobie za krzywdę uczynił. Zaszedł do ojców raz, drugi, ty witała mile. Miłowali cię inni, wielu, dla swawoli, dla śmiechu, życia żaden dać nie chciał, ja dał. Ot i cała wina moja...

Podniecony, uderzył wiosłem po fali. Kilka ryb spłoszonych plusnęło, słowiki na sekundę ucichły, łódka się zachybotała. Cisza nocna działała na chłopca. Stłumionym głosem ciągnął dalej, powolnie, niżąc wspomnienia:

— Zaszedł do ojców, taj nad tą rzeką ciebie spotykał, na tym ługu gorące słowa gadał. Ptaszynko, łabędzico, pójdź do mojej chaty na panowanie, na królowanie, na miłowanie; za dolę ciebie wezmę, za bogactwo, jak oczu, jak duszy pilnować będę, doglądać. Mnie nie, że ludzie od ciebie ostrzegają, mnie nie, co złe języki plotą—wierzę ja tobie! Życie dam, by ci dobrze było. Ty słuchała gadania u mojej piersi, dawała usta całować, aż mi zupełnie rozum zabrałaś, związałaś duszę. Gdyś się ojcom z prośbą o ciebie do nóg pokłonił, ty zapłakałaś, jak z dobra się płacze, ty mi rada byłaś.

Oj, nocy ciepła, oj, nocy kochana!

— Nocka widziała mnie w miłowaniu wracającego, widziała w pragnieniu, w niespokoju, w sławie i ucieście. Sam ja często wracał w takie pory, gdy złe po wodach chodzi, durzy i mami, i w takie, że fala razem ze mną kryła i śmierć, a nigdy się nie lękał zatraty, ni strachu, taki się duży czuł i taki spokojny, przez ciebie! Moja dolo ty, moja mocy—ot jaki ja teraz ostał! Wszystkiego dobra pół roku było. Na ślubie z tobą stanął, i sobie do chaty,

ot, nocką taką samą lubą, ciebie przywiózł, na dostatek największy. Czy ty i tego nie pamiętna — zwodnico! Miły Boże, żebym ja człeka życia pozbawił, a potem sierotom jego taki dobry był, jak tobie przez ten rok, tobym u sierot tę krew ojcu, a Bogu duszę odслужиł; żebym ja kata tak umiłował, katby mnie oszczędzał. A ty rękę moją gryzła, ty oczy moje wyłupiłaś, serce za próg wymiotłaś, a duszę jak szmatę skręciłaś. Ot, tyle!...

Mateczyna prawda: nie zagabuj człowieka do lubienia, nie człowiecza to moc! Porzuciła ty mnie, uciekła! Ja wtedy po ziemi się tarzał, piasek gryzł, nie było we mnie żyły, ni kości, coby śmiertelnie nie bolała, łzami krew szła, obłąd głowę rozbierał na kawałki, jak cieśla popsuty budynek. Mój Boże! po jedynaku tak matka nie płacze, jak ja po tobie. Przybiła ty mnie wtedy śmiertelnie, alem się pociechy jeszcze myślał czepiał: Opamięta się, pożałuje swego, własnego!

I pójechałem po ciebie, przez wstyd, przez śmiech, przez drwiny, i zabrałem sobie znowu. Tak mi wtedy nocka rała, nocka luba. Słuchał ja jej cichości, płynąc po ciebie, i tak mi

gadała do otuchy: Cierpliwy bądź, cichy bądź dobrocią ją wiąż do siebie. A jakeś wróciła, do pracy cię jeno łagodnie naganiałem, myśląc, że złe cię myśli odlecą. Nie tknąłem ciebie, ni musilem, ino zawsze: Marynko serdenko, Marynko kwiatku. A ty mi za to drugi raz uciekłaś! Matka mówiła: porzuć! nie mogłem; ludzie radzili: bij — nie chciałem!

— Trzeba było bić! — krótco rzuciła kobieta.—Trzeba było zabić, koniec zrobić!

Jakób na nią popatrział sekundę oczyma pełnemi zgrozy i oburzenia, potem je odwrócił i długo milczał.

— Żebym ja między ludźmi wielu rósł, umiałbym to może—zaczął smutno—ale mnie las hodował, na zwierza patrzyłem, i nigdym nie widział, by w gnieździe czy barłogu samiec samkę zabijał lub krzywdził. Siłę swą szanował, i jam ją na słabą nie miał. A nocka inaczej gadała. Użaliłem się nad tobą zdurzoną, pojechałem znowu, bez złego słowa — i napowrót sobie wziąłem. Alem już jak nieżywy został, bez nijakiej otuchy, ni wiary. Dobra myśl nie powstała mi w głowie, śmiechu zapomniały usta, a przez oczy moje świat jest ja-

kiś szary, mętny, jakby jesień nigdy z nieba i ziemi nie schodziła. Aha—i ja wtedy postanowił koniec zrobić. Za pewne już miałem, że ciebie od Macieja nie wykupię, ni prośbą, ni groźbą, ni łaską, ni krwią, i bojować ze złą dola przestałem. Takie sądzienie. On tobie milszy, ten, co od ciebie do żonki wraca, ten, co ciebie brać nie zechciał, ino swawolił, i pieśni śpiewał, ten, co takich jak ty, ma wiele — na każdy dzień nową, a z każdej przed żoną się naśmiewa. Ale on tobie najlepszy, miłujesz go, jako ja ciebie. Co robić!...

Nauczył się ja to myślenie póty sobie powtarzać, aż mi het duszę aż do cna rozjadło, aż zmógł gorycze i wstyd, i żal już zupełnie jakby zamarł z bólu.

Trzeba koniec zrobić. Tak—już czas. Jednego z nas na świecie zawiele.

Myślał ja siebie zabić, to i tak ty do Macieja nie dojdiesz przez żonę jego! Myślał jemu śmierć zrobić, ale to głupia dumka była, precz ją odegnał. A o tobie i pomyśleć nie mógł, nie, nie. Zima wtedy stała na ziemi, i ty w chacie u mnie byłaś. Z miłowania swego ja się wypłatać nie mógł, duszę ubił, ból ubił, a to het żyło — żyło!

Aż wiosna przysła. Ty płakałaś po ką-
tach, oczy miałaś błędne, wyschłaś z jakiejś
troski. Codzień ja z boru niespokojniejszy wra-
cał, czy cię zastanę jeszcze, aż—kra gdy zbie-
gła, jednego wieczora patrzę—niema ciebie. Ty
sama na siebie sąd zrobiła!

— Jaki sąd?—spytała kobieta i nagle po-
bladła, podnosząc nań oczy.

Stał przed nią w pełni księżyca, zapa-
trzony ponad jej głową na wodę ruchliwą.
Wiatrak nieruchomy zaczerniał, jak widmo,
on nagle przy nim zawrócił w prawo, w czarne
ciasne przejście.

— To nie nasza droga! — zawołała, po-
wstając.

— Nie nasza, ale twoja!—odparł.—Będzie
ztađ tobie bliżej do twego Maćka zapłynąć.

Kobieta poruszyła się i zaczęła bacznie na
brzegi patrzeć. Wybierała miejsce do skoku
i ucieczki. Jakób może to zrozumiał, bo się
uśmiechnął wpół pogardliwie, wpół smutnie.

— Ale tak, Marynko, uciekniesz od dobre-
go, co ciebie miłował, dojedziesz do kochanka,
co tobą się zabawia; nie uciekniesz jednako od

kary, nie dojedziesz do swojej w starości śmierci. Ej, dogoni ciebie sąd, dogoni!

Mówił powoli, spokojnie, z pewnością swego zamiaru. Z obu stron torfiasty był brzeg, bezdeń, trzęsawisko, środkiem topiel. Księżyc bokiem teraz szedł przy nich i jeszcze większa zaległa cisza, bo na dzikim błocie ptactwo nawet nie grało. Gdzieniegdzie, jak skierki na torfie, błyskały świętojańskie robaczki, i tylko w tej ciszy odzywały się niewiadomo z kąd z toni, czy z powietrza i dali płaskiej, jakieś zduszone westchnienia, trwożne szepty, głuche jęki, szmery raczej dla duszy niż dla zmysłów uchwytnie.

Czasami białawy kłęb mgły nocnej tworzył nad wodą gromadę fantastycznych postaci, które rozbiegały się przed łodzią, chroniły po zakątach i z tyłu wysuwały się znowu na środek, goniąc tych dwoje po fali, jak duchy złośliwe mary topielców.

Kobietę lęk straszny i groza objęły. Czuła, że jakieś złe nieuniknione idzie ku niej, że to ono szepce, i jęczy, i chychocze w ciszy. Drżała, zamykając oczy, kuląc się do dna łodzi. Jakób zdawał się też słuchać i rozumieć. Twarz jego twardniała z chwilą każdą, a pot na skronie

wybiegał; jeszcze resztę tego kochania wielkiego mordował w sobie, jeszcze w duszy słyszał prośbę o litość. Ale już mu nocka i cisza źle radziły, już teżał w postanowieniu.

Z wyższego kanału wbiegła łódka na przestrzeń szerszą, bardzo czarną, nagą. Grybienie tu nie rosły na głębinię, drobne wiry bulkotały, jak żmije się kręcąc, rzucając białą pianę.

Znowu człowiek głos podniósł zgłuszony:

— Zawiazała ty mnie świat, a ja tobie. Ni ty mnie będziesz, ni komu. Po co ty na świecie? Trzeba skończyć. Trzeba mnie ciebie stracić, a tobie się uspokoić. Tak sądzono. Będę ja bez ciebie, jak ciało bez duszy, i ty bezemnie tak samo. Dziś ja ostatni raz po ciebie popłynął. Teraz tobie wolę dam—rzeka do twojej wioski płynie—wrócisz pod Maćkową chatę. Wolno tobie będzie jego pieścić i całować, wolno w noc mu pod okienkiem śpiewać. Już ja mu ciebie teraz oddam.

Położył wiosło, w zanadrze sięgnął, dobył chustkę na końcach krasno haftowaną, długą.

— Tylko żeś mi żoną być ślubowała, w małżeńskim zawoju cię odprawię na owe gody.

Łódka zakręciła się w wirze, prawie na miejscu stała.

— Jakób!—krzyknęła kobieta—daj mi żyć!

— A tyś mi dała? — rzekł, postępując ku niej.

— Rozbójniku, zwierzu, puść! Ratujcie!...

Głos zdławił się. Jakób jedną ręką obezwładnił ją, drugą chustę około głowy i twarzy okręcił mocno i ścisnął przy gardle.

Szamotała się słabo pod jego siłą niedźwiedzią. Na rękach ją uniósł, sekundę się zawahał i cisnął owym wirom na żer. Zakotłowała się woda, porywając ją, jak swoją, jakby pastwiąc się, wyrzuciła raz i drugi na wierzch, urągliwa w swej mocy wobec jej ostatnich rozpaczliwych odruchów. Biały zawój błysnął, potem ręce tylko, potem już nic, tylko znowu wiry się kręciły z gadzinowym sykiem, i coraz dalej szerokie koła rozbijały się po toni.

Jakób pot zimny rękawem otarł, wiosło podniósł i z powrotem w wąskie przejście zawrócił.

Znowu wielka cisza wróciła na okół, srebrny miesiąc z boku mu towarzyszył, a owe

mgły biegly za nim, jakby się łódki czepiały, jakby się na nią wprosić chciały.

Wiatrak rozkrzyżowany, dziwaczny w tej pustce, drogę mu zabiegł jak drogowskaz fatalny, i znowu czółno wbiegło na srebrną drogę księżycą. O połowę lżejsze było i prąd wioślarzowi pomagał. Jeszcze rozkoszniej przed blizkim już świtem zawodziły słowiki po gąszczach.

I nagle człowiek na dno łodzi padł, zajęczał, zawył, zaszłochał dziką rozpaczą.

Łódkę prąd wepchnął w zatoczkę, podłoży obwisłe i w cieniu przepadła.

I wciąż jęk człowieczy rozstrajał ciszę nocy, pieśni słowicze, łagodne tchnienie przyrody. Na wschodzie niebiosą bladły.



W pół roku potem, gdy wichur jesienny szalał, a deszcz zimny bił o szyby, Jakób żegnał się z matką w czarnej izbie więziennej.

On na zydlu siedział, już do jutrzejszej dalekiej drogi gotowy, ze społeczeństwa zdrowego na zawsze wykreślony—ten sam spokojny,

smutny, z głową pochyloną na piersi, z beczynnie odrzuconemi ramiony.

Ona przed nim siedziała na ziemi, a między niemi leżał worek jego aresztancki, który mu poszyła i wyładowała na drogę.

Sama też do drogi gotową była, dwie sakwy na chleb miała przez plecy, w rękukij żebraczy, i tak siedząc naprzeciw siebie, milczeli, najmniejszego nie zdradzając żalu czy protestu. Tylko oczy starej wypłakane świadczyły, że odcierpiała całą miarę boleści, aż skrzepła. Oboje zdawna przygotowani byli na złą dolę—ona na poniewierkę niedołężnej starości, on na karę ludzką. Więc i mówić nie mieli o czem. On niepiśmienny, wieści nie przyszłe—jej, żebraczki, żadna wieść nie znajdzie. Jakoby umarli byli.

Długo się nie odzywali, aż wreszcie stara spytała:

— Już tobie lżej teraz, synku.

— Czemu? — zagadnął.

— Że już ona ciebie nie męczy.

— Nie! — potrząsnął głową. — Z duszy ja jej nie wyrzucił, zostanie do śmierci. Dlatego ja ją ze świata sprowadził, żeby sprawiedliwość

była, nie żeby sobie dobrze uczynił! Jej krótka męka, a mnie długa. Oj, matko, i na moment ona od mojej duszy nie odstała. Poniosę ja ją z sobą, poniosę!

— Bodajże ją złe za to skreśliło, bodajby! poczęła przeklinać z jękiem.

— Cyt! — groźnie przerwał syn. — Ty jej nie wspominaj, nie klnij! Ja ją ze świata zrzucił, teraz do niej nikomu, nikomu, już jej dla was nie ma, nie tykajcie. Co moje—to moje! Idź ty już, matko, idź. Noc zachodzi, rozstać się trzeba!...

Wstał, i twardą jej rękę pocałował.

— Dziękuję tobie za hodowanie i za pożałowanie — dodał głucho — i za opawę na drogę. Już mnie więcej nic nie trzeba. Idź, matko!

Stara podniosła się ze stęknieniem. Łzy jej po zmarszczkach oblicza biegły bez głosu. Drżącemi dłońmi po twarzy mu powiodła i do posłuszeństwa temu swemu opiekunowi przez całe życie nawykła, ku drzwiom poszła.

— Matko! — zawołał — pamiętajcie, nie klnijcie jej! Już jej dla was niema. Umarły niech

leży cichy, ona swoje odcierpiała. Powiedźcie, że jej nie zaczepicie!

— Twoja wola, synku!—odparła przez łyzy.

Przy progu obejrzała się nań raz jeszcze.

— Pochwalony! — pożegnała go tradycyjnem słowem.

— Na wieki wieków!—odparł, pochylając głowę.



1
2667